GAZETA USTROŃSKA

Boże Narodzenie 2016

MAGAZYN ŚWIĄTECZNY

„Oto poczniesz i porodzisz...”

Na ogół, gdy rozważamy tę Ewangelię, kładziemy główny nacisk na Maryję, na Jej pobożność i posłuszeństwo, pokorę i zaufanie do Boga. Faktycznie, jest to dla nas niedościgniony, a zarazem bardzo czytelny wzór wiary: wiary wyrastającej z modlitwy, wrażliwości na Boże Słowo, zaufania do Boga, posłuszeństwa, a w dodatku wiary zrealizowanej praktycznie i konkretnie w życiu, a nie tylko w teorii. Jest się czego uczyć.

Ale często w tym naszym zapatrzeniu w Maryję pomijamy to, co jest w Niej, albo raczej dla Niej najważniejsze. Albowiem ta Jej wiara nie była tylko godną podziwu cnotą samą dla siebie, czy dla praktykowania sobie w celu większej pobożności. Była to bardzo konkretna forma Jej odniesienia do Boga, Jej postawy wobec Boga, wyrażającej się w myśleniu, decyzjach, działaniu. I prawdopodobnie Maryja bardzo by nie chciała, abyśmy zatrzymywali swą uwagę tylko na Niej, nie idąc dalej do Boga.

Wyraziła to wprost w swoim hymnie uwielbienia - „Magnificat”: „Błogosławić mnie będą wszystkie pokolenia, gdyż wielkie rzeczy uczynił mi Wszechmocny”. Zdaje sobie sprawę ze swej roli i wyniesienia, ale jeszcze lepiej wie, skąd się to wzięło. Oto właściwy tytuł do Jej chwały: Bóg, któremu wszystko zawdzięcza! Dlatego właśnie na wszystkich obrazach, z Jasnogórską Ikoną na czele, jednoznacznie i wyraźnie wskazuje ręką na swojego Syna. To On jest najważniejszy, a Ona, jako Jego Matka, jest tylko pokorną Służebnicą Pańską. Całą swoją postawą, oczami, oddaniem, miłością wskazuje na źródło swojej świętości - na Boga!

Jeden z kapłanów głosił kiedyś kazanie w Święto Niepokalanego Poczęcia i poświęcił je Jezusowi jako sprawcy Jej uświęcenia od pierwszego momentu życia. Zaraz po odpustowej sumie przyszła do zakrystii jakaś pobożna niewiasta z ubolewaniem, że w kazaniu było za mało o Maryi, a za dużo o Panu Jezusie. Mądry ksiądz odpowiedział jej na to, że Maryja na pewno bardzo się ucieszyła, że mówi się o jej Synu, bo Ona zawszę się cieszy, gdy ludzie kochają i mówią o Panu Jezusie. Przecież Ona dla Niego tylko żyła, Jemu i Jego dziełu się cała oddała i do Niego jedynie chce prowadzić ludzi, nie do siebie.

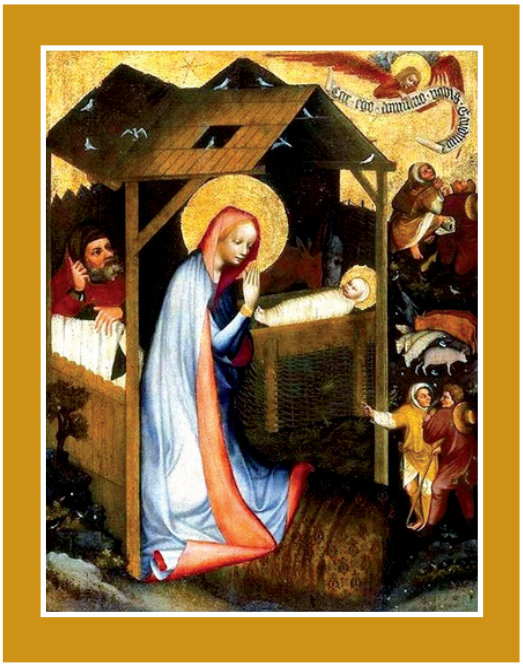

Na tym polega Jej wielkość: na wielkiej, pokornej służbie Bogu. I takiej wielkości chce nas nauczyć. I na tym właśnie polega prawdziwa pobożność maryjna: na naśladowaniu Maryi w Jej bezgranicznym zawierzeniu i oddaniu Bogu. Maryja jest jak piękny, kryształowy witraż, który prześwieca i przepuszcza światło słońca, dodając mu blasku i koloru. Ale czym byłby witraż bez słońca - szarą przybrudzoną szybą. Maryja nie chce skupić naszej uwagi na sobie, lecz wyraźnie wskazuje na Boga. Popatrzmy więc i my w tym samym kierunku co Ona.

Kierunek ten wskazuje nam Archanioł Gabriel. „Ten, którego poczniesz i porodzisz, będzie nazwany Synem Najwyższego. Będzie wielki, a Bóg da Mu tron Dawida (czyli najwyższą mesjańską, królewską godność), da Mu panowanie na wieki nad wszystkimi wierzącymi (domem Jakuba). A stanie się to za sprawą samego Ducha Świętego”. Oto zadanie Maryi, które z taką wielkodusznością przyjęła. I właśnie w tym mamy Ją naśladować - w wielkodusznym oddaniu się Bogu do całkowitej dyspozycji. Maryja pokazała nam, jak to zrobić. I pokazała także jak to potem wypełnić: w betlejemskiej szopie, w pośpiesznej drodze do Egiptu, w Nazarecie, w Jerozolimie, wreszcie na Golgocie pod krzyżem. Oto Jej droga wiary. Spróbujmy nią iść.

Wszystkim Mieszkańcom Ustronia oraz Gościom, przebywającym w naszej Parafii w czasie świąt, życzymy spokojnych i błogosławionych świąt Bożego Narodzenia.

Ks. Wiesław oraz duszpasterze
Parafii rzymskokatolickiej
św. Klemensa w Ustroniu

Narodzenie Bożego Syna

W tych dniach będziemy gromadzić się w naszych kościołach wokół radosnej wieści o narodzeniu Bożego Syna. Wraz z pasterzami z betlejemskich pól i mędrcami z dalekich krajów wędrujemy, wiedzeni przez gwiazdę ku Betlejem. Tam stajemy się świadkami największego cudu w historii świata. Prawdziwa światłość, która oświeca każdego człowieka, przyszła na świat, a jest nią Jezus Chrystus

Niechaj ta światłość oświeca każdą i każdego z Was. Niech rozgrzewa Wasze serca i dusze i napełnia je wiarą, nadzieją i miłością. Niech Chrystus Pan błogosławi Wam obficie i prowadzi w swej łasce.

Kiedy przeminą Święta Narodzenia Pańskiego, przygaśnie w sercach blask betlejemskiej ewangelii, na drodze naszej pozostanie jednak światło Chrystusa. Tego Wam życzę na każdy dzień Waszego życia.

Chrystus wstępuje w nasze progi, aby zbawić, czyli podźwignąć, odrodzić, wprowadzić na drogę życia w jasności, w nadziei życia wiecznego. W Bożym Narodzeniu mamy dostrzec szansę i drogę nowego życia, gdyż objawiła się dobroć i miłość do ludzi naszego Zbawiciela…

Na koniec przeczytajmy „Orędzie z groty betlejemskiej”:

Narodziłem się nagi,
abyś potrafił wyrzekać się samego siebie.
Narodziłem się ubogi,
abyś mógł uznać mnie za jedyne bogactwo.
Narodziłem się w stajni,
abyś nauczył się uświęcać każde miejsce.
Narodziłem się bezsilny,
abyś ty nigdy mnie się nie lękał.
Narodziłem się w miłości,
abyś nigdy nie zwątpił w moją miłość.
Narodziłem się w nocy,
abyś ty uwierzył, iż mogę rozjaśnić każdą rzeczywistość spowitą ciemnością.
Narodziłem się w ludzkiej postaci,
abyś ty nigdy nie wstydził się być sobą.
Narodziłem się jako człowiek,
abyś ty mógł stać się „synem Bożym”.
Narodziłem się prześladowany od początku,
abyś ty nauczył się przyjmować wszelkie trudności.
Narodziłem się w prostocie,
abyś ty nie był wewnętrznie zagmatwany.
Narodziłem się w twoim ludzkim życiu,
aby wszystkich ludzi zaprowadzić do domu Ojca.
(L. Noben, Orędzie z groty betlejemskiej)

Ks. Piotr Wowry
proboszcz Parafii
Ewangelicko-Augsburskiej
w Ustroniu

USTROŃSKIE ROCZNICE W 2017

w opracowaniu Michała Pilcha

Lat temu:

570 Pierwsza wzmianka o parafii w Ustroniu
415 Właścicielem Ustronia Dolnego zostaje Marcin Kloch, a Ustronia Górnego jego brat Mikołaj
390 Pierwsza wzmianka o Hermanicach
370 Wymienieni są młynarz Adam Fox i kowal Tomek Błahut
315 Ustroń Górny otrzymał własną pieczęć, na której był pług bez kółek
285 W Nierodzimiu było 3 młynarzy: Michał Kubeczki, Andrzej Kubeczki i Paweł Poloczek
245 Założona została huta ustrońska
240 Rozparcelowano folwark w Ustroniu Górnym
225 Książe Albert Sasko - Cieszyński otworzył w Ustroniu fabrykę papieru. Wyrabiano papier ręcznie ze szmat, nie z drewna
215 Rozpoczęto budowę Hotelu Kuracyjnego - domu zdrojowego z pokojami dla gości oraz urządzonymi łazienkami do kąpieli żużlowych
195 Zmarł Albrecht Kazimierz Sasko - Cieszyński założyciel ustrońskiego przemysłu
185 Urodził się Andrzej Broda – burmistrz Ustronia
180 Zlikwidowano, po 45 latach, fabrykę papieru
180 Powstał piąty, ostatni w Ustroniu ośrodek hutniczy, Młotownia „Teresa”, specjalizująca się w produkcji osi i okuć wozowych
180 W sałaszach na Równicy, Orłowej, Małej i Wielkiej Czantorii, sałasznicy ustrońscy hodowali 1140 owiec i 41 sztuk bydła rogatego
180 Nastąpiło połączenie Ustronia Górnego i Dolnego. Nowa pieczęć miała pług z kołem, a nad nim promieniste słońce
160 Powstał w Ustroniu Urząd Pocztowy
155 Zmarł ks. Józef Karowski, wikariusz ustroński i założyciel Stowarzyszenia Młodzieży Katolickiej
155 Walcownia otrzymała nazwę „Hildegarda”, a hutę „Klemens” przemianowano na „Krystyna”
155 Parafia ewangelicka wybudowała szkołę w Polanie
150 Założono Arcyksiążęcy Zakład Budowy Maszyn - wykonywano tam rezerwuary na parę, ropę naftową, wodę, spirytus oraz cysterny do wrzenia soli. Założono także Zakład Budowy Mostów Żelaznych
140 Urodził się Jan Wantuła
140 Zamknięto i przeniesiono wraz z maszynami i 400 robotnikami do Trzyńca walcownię „Hildegarda”
135 Ustroń uzyskał status uzdrowiska. Zatwierdzona została Komisja Zdrojowa
125 Ukazał się pierwszy numer „Miesięcznika Pedagogicznego” redagowanego przez Jerzego Michejdę
125 Adolf Löwy założył tartak (koło dworca kolejowego)
120 Wygaszono w hucie ustrońskiej wielki piec
115 Zmarł Andrzej Broda
115 Zakończono budowę szkoły w sąsiedztwie rynku
115 Otwarto w Ustroniu synagogę
110 Zmarł ks. Jerzy Janik, proboszcz Parafii Ewangelicko-Augsburskiej
110 Zamknięto ustrońską odlewnię „Elżbieta”
110 Przy fabryce powstała Ochotnicza Straż Pożarna
105 Sprzedano ustrońskie urządzenia i obiekty fabryczne, 61 budynków mieszkalnych oraz tereny rolnicze o powierzchni 60 ha wiedeńskiej spółce Brevillier-Co. Und A.Urban und Söhne
105 Postanowiono, aby wszystkie pisma do Wydziału Gminnego pisać po polsku
95 Powstało Towarzystwo Sportowe Ustronia
90 Założono w Ustroniu zakon Boromeuszek
90 Powstało Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”
90 Na zjeździe w Ustroniu powstał Związek Polskiej Młodzieży Ewangelickiej w woj. śląskim
85 Urodził się Jan Nowak – kierownik klubu fabrycznego
85 Przy OSP Nierodzim założono orkiestrę dętą
85 Odbyły się pierwsze po I wojnie światowej zawody narciarskie
80 W fabryce Brevillier-Urban rozpoczęła działalność szkoła przyfabryczna kierowana przez inż. Józefa Krupę
80 Przekazano armii polskiej dwa ciężkie karabiny maszynowe, ufundowane przez fabrykę Brevillier-Urban
80 Odbyły się w Ustroniu i Wiśle uroczystości pierwszego „Święta gór”
70 Przy świetlicy PSS utworzono zespół teatralny, który wystawił pierwszą sztukę: „Wigilijne nowiny”
65 Zmarł Jerzy Lazar, wieloletni sekretarz Wydziału Gminnego
65 Założono w Nierodzimiu Gminny Ośrodek Maszynowy przemianowany później na Państwowy Ośrodek Maszynowy
65 Powstała Spółdzielnia Inwalidów im. 1 Maja
50 Uruchomiono wyciąg krzesełkowy na Czantorię
50 Zarządzeniem Ministra Zdrowia Ustroń zaliczony został do miejscowości uzdrowiskowych. Rozpoczęto budowę dzielnicy leczniczo-uzdrowiskowej na Zawodziu
45 Ustroń uzyskał Statut Uzdrowiska
45 Otwarta została nowa szkoła podstawowa w Lipowcu
35 Powstało pierwsze w Ustroniu, a drugie w Polsce prywatne biuro turystyczne „Ustronianka”
30 Założona została „Galeria na Gojach”:
25 Zmarł ks. Paweł Bocek, proboszcz Parafii Ewangelicko-Augsburskiej
25 Założone zostało Towarzystwo Kształcenia Artystycznego
25 Powstało Towarzystwo Kontaktów Zagranicznych
25 Powstało Miejskie Koło PTTK
25 Powołano Towarzystwo Rekreacyjno - Sportowe „Siła”
25 Otwarto Zakład Przyrodoleczniczy
20 Powołano Klub Sportowy Psich Zaprzęgów
20 Podpisano umowę partnerską z XI Dzielnicą Budapesztu
20 Otwarcie letniego toru saneczkowego na Czantorii
20 Odsłonięcie pomnika na miejscu dawnej synagogi żydowskiej
20 Rozpoczął działanie Miejski Dom Kultury „Prażakówka” na bazie ZDK „Kuźnik”
15 Zmarła Maria Skalicka, fundatorka Oddziału Muzeum „Zbiory Marii Skalickiej”
15 Zmarł Józef Twardzik, pedagog i współtwórca „Słownika gwarowego Śląska Cieszyńskiego”
15 Ukazał się pierwszy numer „Przyrodnika Ustrońskiego”
15 Otwarcie oczyszczalni ścieków po rozbudowie

Zdaniem Burmistrza

O historii lokalnej mówi burmistrz Ireneusz Szarzec

Wszyscy chyba przyznają, że żyjemy w ciekawych czasach: przełom wieków i tysiącleci, transformacja ustrojowa, wiele zmian i gigantyczny postęp we wszystkich dziedzinach. Sprawia to, że nasze życie ulega również zmianom, a dotyczy to także społeczności lokalnych.

Patrząc na historyczne uwarunkowania wspólnoty samorządowej czy gminnej Ustronia, można zauważyć, że tradycja u nas zawsze miała duży wpływ na bieżące życie. Z czasem wszystko się zmienia, ale historyczne i kulturowe uwarunkowania są trwałym elementem społeczności lokalnej.

Podczas wielu rozmów, spotkań można usłyszeć wspomnienia z czasów minionych. Ludzie starszego pokolenia, choć nie żyli już w cesarstwie austro-węgierskim, to znają tamte czasy z przekazów swoich dziadków. Do dziś wspomina się cesarza Franciszka Józefa, choć niedawno, 21 listopada obchodziliśmy setną rocznicę jego śmierci. Z tą postacią wielu z nas łączy rozwój Ustronia, nawet zdając sobie sprawę z tego, że huta powstała w 1772 r., czyli długo przed objęciem rządów przez Franciszka Józefa. Wspomnienia tamtych czasów pozostają żywe, chociażby to, że w czasach cesarza w 1888 r. do Ustronia dotarła kolej. Na owe czasy był to gigantyczny postęp i miał podobne znaczenie jak dzisiaj internet i rozwój telekomunikacji. A mówiąc o dzisiejszym rozwoju technologicznym, to umożliwia on także sięganie po wiadomości i obrazy z lat minionych.

W Ustroniu, ze względu na uwarunkowania historyczne i kulturowe, a także położenie, w świadomości funkcjonują dwa okresy dotyczące przeobrażeń miasta. Pierwszy jest związany z rozwojem przemysłu w XVIII i XIX w., kiedy to z rolniczej osady staliśmy się miasteczkiem przemysłowym, a potem miastem. Drugie przeobrażenie to powstanie dzielnicy uzdrowiskowej na Zawodziu, a wcześniej, jeszcze w latach 60., wypoczynkowej w Jaszowcu. W drugiej połowie XX w. następuje stopniowe wygaszanie funkcji przemysłowej na rzecz uzdrowiskowej.

Po okresie przemysłowym zostało wiele pamiątek, wspomnień i jest to bardzo ważne dziedzictwo, które musimy szanować, dbać o nie i ocalić od zapomnienia. To były początki naszej miejscowości. To przemysł spowodował, poprzez użycie żużla do kąpieli leczniczych, że dziś możemy mówić o początkach lecznictwa uzdrowiskowego już w XIX w.

Mieszkańcy Ustronia zawsze godnie znosili przeciwności losu. Życie na pograniczu wymaga wielu wyrzeczeń, kompromisów, kształtuje charakter ludzi. Na początku byli to pasterze, rolnicy muszący utrzymywać się w bardzo trudnych górskich warunkach. Ten rolniczy trud możemy poznać z książki prof. Jana Szczepańskiego „Korzeniami wrosłem w ziemię", ale także z wielu opracowań historycznych. Przemysł, to były nowe możliwości zarobkowania, ale nie było to łatwe wyzwanie. Gdy po I wojnie światowej Polska odzyskała niepodległość, również na naszym terenie było odbudowywane państwo polskie. Po dwudziestu latach nadchodzi wojna i okupacja, a Ustroń jest włączony do Rzeszy. Po wojnie rządy komunistyczne i również niełatwy czas.

W roku 1990 społeczności lokalne otrzymują uprawnienia, które już miały przed wojną. Utworzenie gmin samorządowych było niewątpliwym sukcesem. W naszym mieście widać, jak wiele się od tego czasu zmieniło, a społeczność sama decyduje o kluczowych sprawach, co chyba stanowi najlepsze rozwiązanie w zarządzaniu gminami.

Historia i uwarunkowania lokalne mają przełożenie na życie codzienne, na funkcjonowanie rodzin. Ludzie przechodzili trudne czasy wojenne, powojenne, kryzysy, wszystko się zazębiało i miało wpływ na ich życie.

W naszym mieście są rodziny osiadłe tu od wielu pokoleń. Pogranicze powoduje relatywnie większą możliwość migracji i ona występowała, niemniej przywiązanie do ziemi było zawsze bardzo duże. Rodziny wielopokoleniowe dalej kultywują tradycje swoich przodków. Z drugiej strony osiedlali się tu ludzie chcący pracować w rozwijającym się przemyśle. Zatrudniano się w hucie, kuźni, a często nabywając w zakładzie doświadczenie i zdobywając umiejętności, zaczynano prowadzić własne działalności. Po II wojnie nie było to łatwe, tym niemniej na tym gruncie wyrosły firmy, które bardzo dobrze radzą sobie na rynku i to nie tylko lokalnym czy krajowym. To cieszy, bo kult pracy i samodzielnej odpowiedzialności zawsze charakteryzowały nasz region.

Kolejna duża grupa ludzi przyjechała do pracy do Ustronia, co było związane z powstawaniem i rozwojem funkcji wypoczynkowej i uzdrowiskowej. Dotyczy to kadry medycznej, hotelarskiej, ale też całego personelu pomocniczego. Ponownie osiedlano się w Ustroniu, gdyż była tu atrakcyjna praca. Zakładano rodziny i obecnie jest to już drugie, trzecie pokolenie. Warto podkreślić, że osiedlający się bardzo dobrze asymilowali się w naszej społeczności.

Ostatnie lata to jakby trzecia fala napływu ludzi, chcących się związać z Ustroniem, świadomie wybieranym jako miejsce zamieszkania. Często mają gdzie indziej firmy, pracują w innych miastach, jednak znaleźli w naszym mieście miejsce stałego pobytu, tu posyłają dzieci do szkoły i tu zapewne zechcą spędzić emeryturę. Związane jest to z rozwojem infrastruktury mieszkaniowej, osiedli deweloperskich, prywatnych budynków. Duże znaczenie ma położenie Ustronia, walory krajobrazu i fakt bycia uzdrowiskiem.

Jesteśmy atrakcyjną miejscowością, a święta Bożego Narodzenia w górach mają swą wyjątkową specyfikę. Po pierwsze klimat górski, ale także ośnieżone zbocza, świerki rosnące samodzielnie w naturze. Każda rodzina ma swój sposób spędzania świąt, choć zazwyczaj nie różni się on znacząco od tradycji danego regionu, a szerzej całej Polski.

Życie w górach było zawsze trudne, stanowiło wyzwanie i ma to odzwierciedlenie w świątecznych potrawach. Jest to nawiązanie do naszej historii – święta skromne, ale na swój sposób bogate, urozmaicone. Nawet najlepiej zastawiony stół nie miałby świątecznego charakteru bez klimatu rodzinnego, tradycji przekazywanej z pokolenia na pokolenie. To także historia rodziny, znajomych, miejscowości, przejawiająca się w opowiadaniach, jak to bywało, z jakim pietyzmem podchodzono do zasad obowiązujących czy to w trakcie kolacji wigilijnej, czy to pierwszego i drugiego dnia świąt. Święta były dla rodziny, bliskich spędzane w domu, choć czekano z jednym nakryciem na niespodziewanego gościa. Był to czas spędzany w swym gnieździe rodzinnym.

Obecnie w tej tradycji zachodzą zmiany, co możemy obserwować w takich miejscowościach jak Ustroń. Ku naszemu zadowoleniu coraz więcej gości przyjeżdża na święta w góry, a my musimy się nimi zajmować. Sporo osób w tym czasie pracuje, angażuje się w swoją działalność, ale jestem przekonany, że każdy z nas znajdzie tę chwilę, gdy tradycyjnie zasiądzie przy stole, w ciepłym rodzinnym klimacie śpiewając kolędy i miło spędzając czas.

Notował: **(ws)**

51/2016/1/R

ESTRADA LUDOWA KOLĘDOWAŁA W WIEDNIU

Pierwszy weekend grudnia był dla reprezentacyjnego zespołu miasta Ustroń czasem bardzo intensywnym, ze względu na wyjazd do jednej z piękniejszych europejskich stolic – Wiednia. Artyści opuścili Ustroń w sobotni poranek, aby popołudniu zameldować się w austriackim mieście.

Pierwszy dzień wycieczki poświęcony był zwiedzaniu. Członkowie EL „Czantoria" spacerowali po parku miejskim (Stadtpark), podziwiając między innymi budynek Akademii Sztuk Pięknych i pomnik syna Johanna Straussa. Następnie udali się pod kościół jezuitów (Jesuitenkirche), wspaniałą barokową świątynię, znajdującą się w pobliżu placu św. Szczepana (Stephansplatz), na którym z kolei mieści się katedra św. Szczepana, budynek utrzymany w stylu gotyckim, zapierający dech w piersiach swą majestatycznością.

Dalszym punktem zwiedzania był Hofburg – pałac władców Austrii. Kolejną, lecz nie ostatnią atrakcją tego dnia był spacer po placu Karola (Karlsplatz), podczas którego chórzyści mogli podziwiać kościół św. Karola Boromeusza oraz zakupić świąteczne prezenty na jarmarku, który odbywał się na terenie placu. Późnym wieczorem część artystów udała się w stronę Ratuszu, aby tam zobaczyć najbardziej znany, wiedeński jarmark świąteczny.

Drugi dzień wyjazdu rozpoczął się od zwiedzania pałacu Schönbrunn, zamieszkiwanego niegdyś przed Elżbietę Bawarską, żonę cesarza Franciszka Józefa I, znaną również jako Sissi. Popołudniu Estrada Ludowa „Czantoria" uczestniczyła w mszy świętej, odbywającej się w kościele Świętego Krzyża – Polskim Kościele Zmartwychwstańców, podczas której wykonała cztery utwory religijne, zaś po nabożeństwie odbył się koncert kolęd, będący źródłem wzruszeń dla wiedeńskiej Polonii, zgromadzonej w świątyni.

Zespół zaprezentował program składający się nie tylko z tradycyjnych polskich kolęd, ale także pięknych pastorałek i pieśni świątecznych. Partie solowe wykonali: Władysław Sikora, Maria Kiecoń, Mariusz Pasterny, Aleksandra Sikora oraz Beata Biczak. Śpiewakom wtórowała kapela w składzie: Joanna Chrościna, Ewa Zachar, Piotr Śliwka, Jerzy Cholewa, Małgorzata Gembala oraz Jakub Waluś. Do występu artystów przygotowała dyrygent Danuta Zoń-Ciuk, która poprowadziła koncert w sposób brawurowy. Zespół spotkał się bowiem z ciepłym przyjęciem oraz wielkim zainteresowaniem słuchaczy. W drodze powrotnej EL „Czantoria" odwiedziła Dom Hundertwassera (Hundertwasserhaus), zadziwiający nietypową architektoniką.

Zespół, pełen wrażeń i pozytywnych emocji, wrócił do Ustronia późnym wieczorem. Estrada Ludowa „Czantoria" pragnie podziękować Urzędowi Miasta oraz Burmistrzowi Ireneuszowi Szarcowi za częściowe sfinansowanie wyjazdu, dzięki któremu członkowie Estrady mogli szerzyć cieszyński folklor poza granicami Polski.

Edyta Kostka

51/2016/2/R

Grażyna Kubica. Fot. W. Suchta

PISANIE HERSTORII

Rozmowa z dr hab. Grażyną Kubicą z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego

Napisałaś „Jutrznię – ewangelicką godzinę", znany esej opublikowany także w naszej gazecie. Ile tam autentycznych wspomnień młodej dziewczyny, ile przemyśleń po latach?
Chciałabym najpierw skorygować charakter gatunkowy tego tekstu, nie był to esej, ale „proza świąteczna", zatem fikcja literacka. Moim głównym pomysłem było skompresowanie czasu, opisanie przygotowań do świąt i jutrzni jako odbywających się w czasie świętym, o którym pisał Mircea Eliade, że charakteryzuje go regeneracja, odnowienie. Mnie chodziło o ukazanie wydarzenia ujawniającego wspólnotę społeczności ewangelickiej: tej dawnej i tej obecnej, wszystkich pokoleń ustrońskich ewangelików, którzy przychodzą na to ranne nabożeństwo prowadzone przez wszystkich ustrońskich proboszczów. Taka komunia przez wieki, odnowienie mitycznej jedności tej społeczności, ale też zatrzymanie czasu, czy zagłębienie się w jakiejś jego niszy, jak w prozie Brunona Szulca. Pisałam to bazując oczywiście na własnych wspomnieniach i doświadczeniach. Na przykład metafora „spływających ciemną rzeką z gór" ewangelików nasunęła mi się, gdy szłam z córką i rodzicami z Mariensztatu do kościoła, a po drodze dołączały do nas grupki idące od skrzyżowania z Cieszyńską, od „Prażakówki". Szliśmy w ciszy, pod butami chrzęścił zmrożony śnieg. Wyobraziłam sobie, jak takie ludzkie potoki spływały dawniej z gór, łączyły się ze sobą i docierały do kościoła. Przed piątą rano w Boże Narodzenie świat jest wyjątkowy. To również chciałam oddać w tym opowiadaniu. Korzystałam także z opowieści rodziców. Na przykład o Jurczoku, owczorzu, co za nim czasami jego pies przychodził do kościoła, usłyszałam od mojej mamy. Oboje moi rodzice byli rezerwuarami ustrońskich opowieści, także moje ukochane ciocie, Anusia Błąkałowa i Zuzia Kubicowa, służyły mi zawsze (a Zuzia nadal służy) swoją wiedzą i zasobami pamięci. To opowiadanie o jutrzni ma kilka wersji, które były publikowane w różnych miejscach, a ta najbardziej dopracowana jest w mojej książce: „Śląskość i protestantyzm. Antropologiczne studia o Śląsku Cieszyńskim, proza, fotografia", wydanej w Wydawnictwie UJ w 2011 roku.
W tekście tym to ewangelicy dolinami idą na jutrznię do kościoła. Byli też katolicy, na co dzień twoi koledzy ze szkoły. Był to jakiś podział, bo o ile pamiętam, to u nas w „jedynce" nikt do tego nie przywiązywał wagi. Ale ty chodziłaś do ewangelickiej dwójki.

(cd. na str. 7)

WSPÓLNE PIECZENIE

Po raz pierwszy wspólne pieczenie ciasteczek zorganizowały panie z Koła Gospodyń Wiejskich Ustroń Centrum. Część potrzebnych składników zakupiono ze środków koła, na część panie się składały, ale również przynosiły produkty z domu – jajka od swoich kur, orzechy, owoce i powidła. Nie używano żadnych sklepowych dżemów, tylko własne przetwory. Przewodnicząca koła Maria Jaworska podkreśla, że takie działania są bardzo potrzebne, można spędzić czas razem, porozmawiać, jednocześnie pielęgnować tradycje regionalne i przygotowywać smakołyki na święta.

Do pieczenia zgłosiło się 12 pań, które przygotowały 28 rodzajów ciasteczek. M. Jaworska mówi, że liczba wypieków nawet ją zaskoczyła. Ale co się dziwić, skoro panie przyniosły własne przepisy, niektóre zupełnie nowe, na przykład na żebroczki i żaby, inne bardziej tradycyjne. Gdy pytam, bez jakich ciasteczek przewodnicząca KGW nie wyobraża sobie Bożego Narodzenia w Ustroniu, słyszę, że najbardziej popularne, tradycyjne i uniwersalne są kocie oczka, czyli kruche ciasteczka przekładane marmoladą, widoczną przez dziurkę w górnym ciasteczku. – Wszyscy je lubią, najlepiej się przechowują i są łatwe do zrobienia – mówi M. Jaworska. – Podobne zalety mają rogaliki orzechowe, a także jeszcze bardziej zakorzenione w tutejszej tradycji rogaliki waniliowe.

51/2016/3/R

Członkinie koła chętnie podzieliłyby się swoją wiedzą i doświadczeniem cukierniczym, ale młode kobiety jakoś nie chcą się przyłączyć do wspólnego pieczenia.
– To było ciekawe doświadczenie, gdy mogłyśmy się wymieniać radami, spostrzeżeniami, pomysłami na dekoracje. Bardzo chciałabym przekazać tę naszą wiedzę, żeby tylko młodzi chcieli się uczyć. Skończyłyśmy pieczenie w strażnicy OSP Centrum i to samo będę robić w domu, bo moje wnuczki już się nie mogą doczekać pieczenia ciasteczek. Najmłodszym jeszcze się chce, ale potem ta ochota mija – zwierza się przewodnicząca Koła. **Monika Niemiec**

51/2016/4/R

51/2016/8/R

PISANIE HERSTORII

(cd. ze str. 6)

O piątej rano w Boże Narodzenie do kościoła idą tylko ewangelicy. Katolicy wtedy śpią po pasterce. Co zaś się tyczy szkoły, to jej „ewangelickość” znaczyła wtedy (na początku lat sześćdziesiątych) tylko tyle, że mieściła się ona na placu przy ewangelickim kościele. Szkoła była publiczna, świecka, kierowana przez pana Jana Lasotę, który, o ile dobrze pamiętam ,był członkiem PZPR. „Jedynką” wtedy kierowała zapewne osoba o podobnym profilu ideologicznym (przynajmniej oficjalnie). Gdy rozpoczęłam edukację, lekcji religii już nie uczono w szkole, ale w salkach katechetycznych przy kościołach. Na początku września co roku przychodził do każdej klasy ks. Paweł Bocek i mówił kiedy są lekcje religii dla dzieci ewangelickich, to samo czynił ks. Leopold Zielasko w odniesieniu do dzieci katolickich. O tym, że dawniej moja szkoła była ewangelicka, dowiedziałam się później. Pamiętam jak moja mama opowiadała mi, że gdy zaczęła chodzić do szkoły (było to chyba w 1936 roku) a mieszkała wtedy w górnym Ustroniu, nie było szkół wyznaniowych i rodzice posłali ją do tej, która była najbliżej, czyli przy rynku. Niestety niedługo później doszło do jakichś niesnasek na tle wyznaniowym i ewangelickie dzieci zostały stamtąd przeniesione do szkoły „na dole”. Nie sprawdzałam historycznego kontekstu tego wydarzenia, nie wiem na czym polegały te „niesnaski” i na jakim poziomie miały miejsce (gminy,

Koleżanki z klasy: Barbara Paszcza, Grażyna Kubica, Danuta Koenig, Emilia Czyż i Bożena Tomaszko, na dziewiątych urodzinach Grażynki. Zdjęcie zrobiono na łące, na której obecnie stoi blok nr 1 os. Cieszyńskiego.

powiatu, czy jeszcze wyżej). Przytaczam tylko wspomnienie mojej mamy. W każdym razie, podział wyznaniowy ustrońskich szkół wywodzi się z czasów, gdy były one prywatnymi szkółkami parafialnymi, a raczej szkoła ewangelicka taka była, bo katolicka była chyba od początku państwowa.

A kiedy poznałaś słowo ekumenizm? Przyznam się, że w moim przypadku było to już w wieku dojrzałym.

Myślę, że w moim przypadku było podobnie. Ale przy okazji muszę wspomnieć, że słowo „ekumenizm” w ścisłym znaczeniu to „ruch propagujący porozumienie i współpracę pomiędzy kościołami, dążący w dalszej perspektywie do zjednoczenia chrześcijan”. A zauważyłam, że w śląsko-cieszyńskim dyskursie używa się go w znaczeniu współuczestniczenia przedstawicieli obu kościołów (katolickiego i ewangelickiego, bo raczej nie dotyczy to pozostałych denominacji) w jakichś lokalnych przedsięwzięciach i wydarzeniach. Nie mają one raczej na celu teologicznego zbliżenia, a tylko współobecność. Choć oczywiście uważam za bardzo pozytywne, że ma ona miejsce.

Obecnie w Komitecie Honorowym obchodów 500 lat Reformacji zasiada Prymas Polski. Nie wszystkim, zresztą katolikom i ewangelikom, to się podoba. Co o tym sądzisz?

Nie podoba mi się głównie to, że udziału w tym komitecie

(cd. na str. 8)

PISANIE HERSTORII

(cd. ze str. 7)

odmówił Prezydent. Zaś obecność Prymasa, szczególnie w kontekście ekumenizmu, o którym właśnie mówiliśmy, jest bardzo pozytywnym sygnałem.

W twojej książce „Śląskość i protestantyzm" jeden z rozdziałów nosi tytuł „Etos śląskich luteranów – interpretacja kulturowa". A etos katolików cieszyńskich?

To bardzo ciekawa kwestia, należałoby się temu przyjrzeć i przeprowadzić analizę jakiegoś korpusu tekstów cieszyńskich katolików, tak jak to robiłam w przypadku studium o etosie śląskich luteranów, o którym wspomniałeś. Podejrzewam, że wyniki byłyby podobne w zasadniczych sprawach, w końcu i ewangelicy i katolicy cieszyńscy są Ślązakami, uczestnikami śląsko-cieszyńskiej kultury.

O ewangelikach wiadomo, że są to Cieszyniacy z dziada pradziada. Z katolikami, poprzez migracje, to bardziej skomplikowane, bo są ci stela i nie stela.

Tak, oczywiście są autochtoniczni katolicy cieszyńscy z dziada pradziada i są katolicy „napływowi". Wydaje mi się, że ci drudzy dzielą się jeszcze na tych, którzy akceptują śląsko-cieszyńską kulturę i starają się, by ich tutaj zaakceptowano, oraz na tych, którzy nie widzą takiego powodu i raczej starają się narzucić na ten lokalny kontekst wizję świata, którą wynieśli z innych regionów, gdzie na przykład nie ma innych wyznań.

Ostatnio piszesz o kobietach, a nawet kręcisz o nich filmy. To od razu powoduje, że wrzuca się twoją twórczość do szufladki z nazwą: Feminizm. Czy ci to nie przeszkadza?

Przeszkadza mi protekcjonalny i prześmiewczy ton, z jakim mówiło się w Polsce o feminizmie, choć na szczęście to się zmienia. Kobiety wreszcie pokazują, że stanowią istotną siłę polityczną, czego najlepszym dowodem był Czarny Protest. Uczestniczyłam w nim i byłam pod wrażeniem jego rozmiarów i siły. Była to najliczniejsza demonstracja w Krakowie od 1989 roku. A wiele kobiet, które nie mogły w niej uczestniczyć, wyrażało solidarność i ubrało się na czarno. Przed dołączeniem do manifestacji, poszłam do baru mlecznego koło mojego instytutu coś zjeść i z radością i dumą stwierdziłam, że pracujące tam panie były wszystkie na czarno. Co zaś się tyczy mojej twórczości, to istotnie historia kobiet, czy jak to się określa z angielska „herstoria" (w odróżnieniu od „his-toria"), jest stałym jej elementem już od kilkunastu lat. Rozpoczęła ją książka „Siostry Malinowskiego, czyli kobiety nowoczesne na początku XX wieku", która była pokłosiem mojej pracy nad opracowaniem słynnego dziennika tego antropologa, a której promocję w Ustroniu prowadził Maciek Chowaniok, nieodżałowanej pamięci wybitny młody literaturoznawca. Jednej kobiecie, antropolożce Marii Czaplickiej, była poświęcona moja książka habilitacyjna, wydana w ubiegłym roku, gdzie oprócz życia tej wybitnej badaczki, opisuję kontekst intelektualny początku XX wieku, ówczesną brytyjską antropologię, a także analizuję dzieła Czaplickiej i jej syberyjskie badania terenowe. Dostałam za tę książkę nagrodę Klio, przyznawaną przez środowisko historyków. Od kilku lat razem z koleżankami związanymi z Fundacją Dobra Wola, realizujemy projekty historii mówionej, w których udzielamy głosu kobietom, a potem komponujemy z tego materiału filmy dokumentalne. Dwa takie projekty zrealizowałyśmy na Śląsku Cieszyńskim po polskiej i po czeskiej stronie, a językiem filmu jest cieszyńska śląszczyzna. Jeden dotyczył granicy przecinającej nasz kraj, a drugi pracy kobiet w przemyśle ciężkim. Uczestniczyły w nich m.in. dwie młode ustrońskie socjolożki, Anita Kramarczyk i Agata Werpachowska, a naszymi rozmówczyniami było kilka starszych ustroniaczek. Ten pierwszy film miał swą premierę w Ustroniu we wrześniu, ale ujawniły się wtedy pewne techniczne usterki, które naszej filmowczyni, Gosi Goliszewskiej, dopiero niedawno udało się usunąć. Mam nadzieję, że kolejne pokazy będą miały miejsce na początku przyszłego roku, a wkrótce dokończymy też drugi film i będę mogła z nim znów przyjechać do Ustronia.

Historii łysych czy rudych na Śląsku Cieszyńskim też jeszcze nie opisano.

Proszę bardzo, możesz to zrobić.

(cd. na str. 9)

ŚWIĘTA W MUZEUM

Niezwykły klimat świąt Bożego Narodzenia panuje w jednej z sal wystawowych w Muzeum Ustrońskim. Warto się tam wybrać mimo nawału przedświątecznych przygotowań.

Wykonawczynie rękodzieła na wystawie bożonarodzeniowej to mieszkanki Ustronia – Anna Bodziuch, Maria Greń, Jadwiga Madejczyk, Karina Pinkas, Zofia Rymorz, Jadwiga Songajłło,

51/2016/5/R

51/2016/7/R

Anna Strygner, Teresa Szcześniewska oraz Cisownicy – Jadwiga Jaeschke i Helena Kowala. Wystawa bożonarodzeniowa została wzbogacona scenkami rodzajowymi, związanymi z wypiekiem ciastek (kultowe ciastka, które uzyskiwano za pomocą specjalnej nakładki na maszynkę do mięsa), wieczerzą wigilijną (podkreślamy, że jeszcze kilka dekad temu jadano z jednej miski) oraz postaciami, wprowadzającymi w świąteczną atmosferę. Na zwiedzających bardzo duże wrażenie robi postać Anioła czy scenka przedstawiająca dzieci z Mikołajem. Uwagę zwraca ogromna, prawdziwa choinka, na której prezentujemy nasz zbiór starych baniek, z których jesteśmy bardzo dumni i pieczołowicie je przechowujemy.

Ściany zdobią też kultowe już zdjęcia przedstawiające święta u rodziny Bojdów w Hermanicach w połowie lat 50. XX w. Pozostałe zdjęcia, to dawne widoki Ustronia w zimowej szacie, dokładnie opisane, co bardzo cenią zwiedzający Muzeum. Jednym z naszych głównych celów jest prezentacja dawnych widoków naszego miasta, które zachowały się już tylko na fotografiach albo w ludzkiej pamięci. Nasi goście uwielbiają stymulować szare komórki i zgadywać „gdzie to jest", jest to dla nich ogromna frajda. Wielkie wzruszenie wzbudza zdjęcie sierot wojennych podczas wigilijki, zorganizowanej w 1945 r. Poza tym podziwiać można Ratusz w zimowej szacie w trzech odsłonach, dawne kino „Uciecha", Magazyn Główny – najstarszy budynek ustrońskiej Kuźni wraz z międzywojenną produkcją dla kolejnictwa, dawną willę Mahlenbray, pełniącą dziś rolę Przychodni Rejonowej w Ustroniu, a ponadto zabudowania drewniane, wille, a nawet przepiękne ujęcie budynku dawnej dyrekcji huty – dziś Muzeum ze srómbkiem i paniczkami ogrzewającymi dłonie za pomocą futrzanych mufek. **Alicja Michałek**

51/2016/6/R

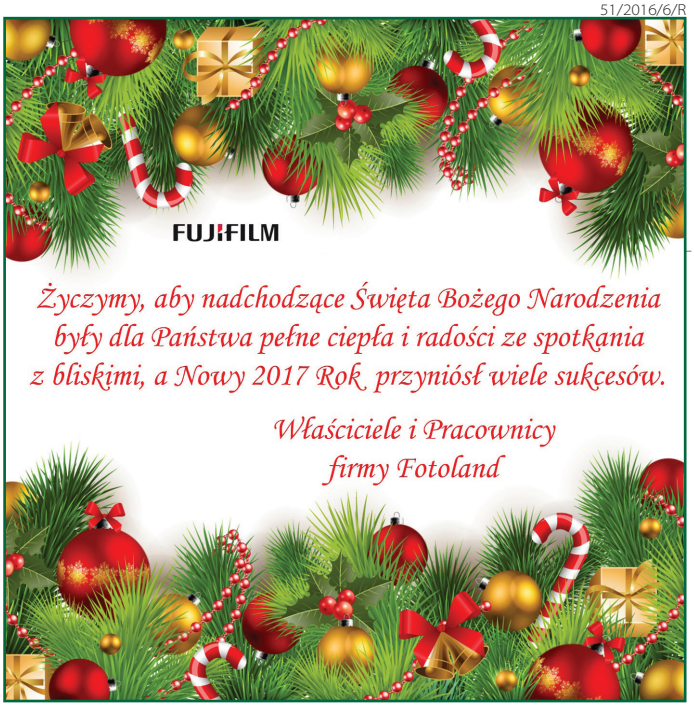

PISANIE HERSTORII

(cd. ze str. 8)

Na zakończenie pozwolę sobie jeszcze zacytować krótki fragment „Posłowia" z twojej książki z 1996 r. „Luteranie na Śląsku Cieszyńskim": „Ostatnio wielu ludzi zastanawia się nad problemem negatywnego stosunku Polaków do obcych, czy innych: antysemityzmu, ksenofobii, odmawiania mniejszościom prawa do obywatelstwa, czy polskości. Wydaje mi się, że u podstaw tego zjawiska leży brak w polskiej tradycji ostatnich dwustu lat poczucia państwowości, myślenia w kategoriach państwa". No i u władzy mamy partię w każdym zdaniu podkreślającą swą propaństwowość. Czy twoim zdaniem wpłynie to na redukcję wymienionych przez ciebie negatywnych cech naszego narodu?

Obecne władze może podkreślają propaństwowość, ale raczej chodzi im o państwo tak jak oni je rozumieją, czyli państwo nacjonalistyczne, wypychające poza obręb narodu tych, którzy myślą inaczej, odmawiające im moralnego prawa wypowiadania się na temat wspólnego dobra. Dlatego obawiam się, że tendencje, o których pisałam w połowie lat dziewięćdziesiątych, ulegną wzmocnieniu, a nie redukcji, czego dowody mamy co i rusz. Poza tym, nie chodzi o jakieś cechy Polaków, ale raczej o specyfikę polskiej kultury. Na Śląsku Cieszyńskim to wygląda inaczej, bo tutejsza kultura uczy nas wszystkich współżycia i faktycznego codziennego pluralizmu, szacunku dla sąsiada bez względu na to, czy jest katolikiem, ewangelikiem, zielonoświątkowcem czy świadkiem Jehowy. Słynny antropolog Ernest Gellner pisał, że społeczeństwo obywatelskie nie może się łatwo wykształcić tam, gdzie jest tylko jedna wiara. To wyznaniowy pluralizm tworzy dobrą glebę dla rozwoju społeczeństwa obywatelskiego. Co zaś do moich obaw, to nie jestem w nich odosobniona. Dwa tygodnie temu uczestniczyłam w Poznaniu w nadzwyczajnym zjeździe etnologów i antropologów, który ogłosił manifest przeciwko dyskryminacji, gdzie piszemy m.in. (pozwolisz, że teraz ja zacytuję na koniec): „Wyrażamy stanowczy sprzeciw wobec wszelkich przejawów dyskryminacji, wykluczania i mowy nienawiści na tle kulturowym, religijnym, etnicznym, genderowym bądź światopoglądowym. (...) Bronimy społeczeństwa otwartego i różnorodnego, budowanego w oparciu o ideały demokracji i prawa człowieka". Chciałabym też podkreślić, że nasz manifest ujawnia problemy, które nie zaczęły się w zeszłym roku, ale w ostatnim czasie uległy intensyfikacji. A moje konstatacje sprzed dwudziestu lat są dalej aktualne. To chyba dobre zakończenie naszej rozmowy (choć niezbyt optymistyczne).

Dziękuję za rozmowę. Rozmawiał: **Wojsław Suchta**

Grażyna Kubica w Muzeum Ustrońskim. **Fot. W. Suchta**

ULICA IM. PADRE ANDREASA W TRES ISLETAS

Jak ten czas szybko i nieubłaganie leci..... Już ponad siedem lat minęło od odejścia z doczesności do wieczności ks. Zbigniewa Kozioła 3 lipca 2009 r., który spoczywa na ustrońskim cmentarzu katolickim. W tym właśnie roku po raz ostatni przyjechał do rodzinnego miasta, aby pożegnać jedyną, ukochaną siostrę Renatę Szlaur nie zdając sobie sprawy, iż za niedługo on sam podzieli jej los. Widocznie Pan Bóg miał własne plany w niebiesiech dla swojego sługi, a ważne zadania dla ludzkości na ziemskim padole pozostawił innym duchownym. Przypomnę Szanownym Czytelnikom, że przez 24 lata ks. Zbyszek pełnił służbę misjonarza w Argentynie, początkowo w Tres Isletas (1985 – 1997), w późniejszych latach w parafii św. Rocha w Chaco.

Wspominając mojego drogiego przyjaciela Zbyszka, z którym uczęszczałam do jednej klasy, najpierw w Szkole Podstawowej nr 1 w Ustroniu, następnie w Liceum Ogólnokształcącym im. P. Stalmacha w Wiśle, a który z tej racji był częstym gościem w moim domu, nie mogę pominąć faktu, że ustroniacy nie stanęli na wysokości zadania, aby nazwać SP-1 jego imieniem. Swoim życiem pokazał i udowodnił, że w całej pełni zasługuje na zaszczyt zostania patronem szkoły, gdyż spełnia wszystkie warunki, jakie taki ktoś winien posiadać. Przecież po skończeniu studiów w Wyższym Seminarium Duchownym w Krakowie mógł zostać duszpasterzem w swojej ojczyźnie, mieć się świetnie i żyć w dobrobycie. Wybrał jednak drogę ubóstwa, organizując od podstaw parafie wśród biedoty, wręcz zacofanych ludzi, chcąc dać im szansę na prawdziwe, zgodne z wiarą relacje ze swoim Stwórcą. Najważniejszy był dla niego człowiek i jego potrzeby. Nazwany misjonarzem miłości traktował swoją posługę misyjną jako autentyczne powołanie. Był wzorem dla parafian tak w Ustroniu, jak i w Argentynie. Ze swoją małą ojczyzną utrzymywał stałe kontakty. Doświadczeniem wiary dawał cały czas świadectwo każdemu, kto miał możliwość obcowania z nim. I to już predysponowało go do zostania patronem szkoły, z której wyszedł. Miał wspaniałe relacje z młodzieżą, a jego przesłaniem dla młodych osób było, aby uświadomili sobie potrzebę poznawania bogactwa, jaka tkwi w każdym człowieku. Niestety, w dzisiejszej rzeczywistości młodzież nie ma za dużo wzorców do naśladowania, więc tym bardziej z takich autorytetów należy korzystać. I w tym miejscu muszę podkreślić, iż nie ma żadnego znaczenia kto pisze te słowa – osoba wyznania ewangelickiego czy katolickiego. Ziemia cieszyńska znana jest z ekumenizmu, tolerancji i wzajemnego szacunku obu wiar do siebie. Pan Bóg jest jeden i ten sam dla nas wszystkich, co stanowi podstawę chrześcijaństwa. Zawsze będę optować za sprawiedliwą oceną każdej jednostki ludzkiej bez względu na jego przynależność do tego czy innego kościoła i przekonania religijnego.

Aby upamiętnić postać swojego misjonarza, społeczeństwo Tres Isletas zainicjowało nadanie jednej z ulic imienia ks. Zbigniewa Kozioła, nazwanego padre Andreas ze względu na trudności wymówienia imienia Zbigniew (Andrzej miał na drugie imię). Wykonano bardzo wymowną tablicę pamiątkową z jego wizerunkiem, którą ustawiono przy wjeździe na wybraną ulicę. Uroczystość odbyła się dokładnie w siódmą rocznicę śmierci, to jest w dniu 3 lipca 2016 r. Tę cenną informację wraz ze zdjęciami przesłała na ręce siostrzenicy Zbyszka, Sylwii Szlaur, Janina Imfeld, z pochodzenia Polka. To piękny gest ze strony tamtejszej społeczności. Może teraz, po kilku latach, ktoś w Ustroniu pójdzie śladem mieszkańców argentyńskiej miejscowości i podejmie temat uhonorowania swojego rodaka podobnym przedsięwzięciem. Zbyszkowi, który miał jeszcze wiele planów do zrealizowania, taki zaszczyt, będący wspaniałym aktem utrwalenia jego postaci w naszym środowisku, jak najbardziej się należy. Pozostawił on bowiem bezcenny testament oparty na duchowym fundamencie wiary i człowieczeństwa. Na koniec przytoczę fragment wiersza ustrońskiej poetki Wandy Mider, bardzo trafnie ukazujący osobowość Zbyszka: *Ileż w tobie było życia, polotu, radości, Aby pomoc nieść bliźniemu w geście życzliwości. Miłość była twym wyzwaniem jak ranek o brzasku, Troski niosłeś na swych barkach nie pragnąc oklasków...* . **Elżbieta Sikora**

51/2016/9/R

KAJTO MIKOŁAJEM

– Kajetan Kajetanowicz to najlepszy Mikołaj wśród kierowców rajdowych i najlepszy kierowca wśród Mikołajów – śmieje się Dorota Kohut, dyrektor Ośrodka Edukacyjno-Rehabilitacyjno-Wychowawczego w Nierodzimiu, wspominając wizytę dwukrotnego mistrza Europy w rajdach samochodowych. – Odwiedził nas prywatnie, bez fotoreporterów i fleszy. Przywiózł 70 paczek, w których znalazły się słodycze i motoryzacyjne gadżety. Prezenty były dobrane osobno dla dziewczynek, osobno dla chłopców. Ani mistrz, ani towarzyszący mu panowie nie kryli wzruszenia, a dzieci były zachwycone Mikołajem.

Kajetan Kajetanowicz znalazł czas na wizytę w ośrodku, mimo iż zaledwie dwa dni wcześniej znajdował się w zupełnie innym miejscu – w wiedeńskim Pałacu Hofburg. Tam, razem z pilotem Jarkiem Baranem, odebrał statuetkę za zwycięstwo w Rajdowych Mistrzostwach Europy. Gala zorganizowana przez Międzynarodową Federację Samochodową (FIA) to coroczne i prestiżowe wydarzenie w świecie sportów motorowych. Na czerwonym dywanie pojawiają się najlepsi z najlepszych: mistrzowie dyscyplin sportów samochodowych, od formuły 1, przez rallycross, po rajdy samochodowe. Dwa dni po wizycie w Nierodzimiu Kajto po raz czwarty zwyciężył w warszawskiej Barbórce i po raz piąty wygrał odcinek specjalny Asy Karowej. **(mn)**

4 grudnia mistrz Kajetanowicz był na gali w Wiedniu...

...a 6 grudnia w ośrodku w Nierodzimiu.

51/2016/10/R

Pod tytułowym adresem znaleźć można niemal wszystkie numery, od najstarszych z 1990 roku po te sprzed miesiąca.

WWW.ARCHIWUM.USTRON.PL

Znajoma pani zapytała mnie ostatnio, czy pamiętam artykuł o wyprawie w góry Kirgizji, który znalazł się w jednym ze świątecznych magazynów Gazety Ustrońskiej. Przyznałam, że nie, ale zaczęłyśmy rozmawiać o tym, jak wiele ciekawych osób przedstawiliśmy na łamach gazety i że ludzka pamięć bywa zawodna. I właśnie wtedy moja rozmówczyni przypomniała sobie, że o górach Pamiru pisała młoda kobieta, chyba Magdalena Drózd. Powiedziałam, że można to sprawdzić w internetowym archiwum Gazety Ustrońskiej. – To wy macie archiwum?! – spytała zdumiona.

Nie ona pierwsza wyraziła zdziwienie, a przecież nasze archiwum ma już dobrych kilka lat. Można w nim znaleźć wszystkie numery Gazety Ustrońskiej od pierwszego, wydanego w 1990 roku, po numery sprzed miesiąca. Wiemy, że z archiwum korzysta wiele osób, chcąc przypomnieć sobie konkretne zdarzenia i ludzi z nimi związanych. Sprawdzić, kto kiedyś był burmistrzem, a kto zasiadał w radzie miasta. Wspominają spektakle pierwszych Ustrońskich Spotkań Teatralnych albo porównują stawki podatkowe w ostatniej dekadzie. Archiwum jest źródłem informacji dla piszących prace semestralne o działających u nas stowarzyszeniach i magisterskie o zmianach w funkcjonowaniu samorządów. Absolwenci ustrońskich szkół mogą sobie przypomnieć, z kim chodzili do klasy, a kibice – które miejsce w lidze zajmowała Kuźnia.

Wracając do Magdaleny Drózd. Sama postanowiłam sprawdzić artykuł, o którym mówiła znajoma. Wpisałam imię i nazwisko w wyszukiwarce archiwum i pokazały mi się okładki siedmiu numerów Gazety Ustrońskiej.

Zaczęłam od najstarszego – 18/1994, w którym Magdalena Drózd jest wymieniona w artykule o otwarciu wystawy filatelistycznej, zorganizowanej z okazji konkursu młodzieżowego „Z Biegiem Wisły” w Muzeum Hutnictwa i Kuźnictwa. Śpiewała wówczas jako członkini chóru Szkoły Podstawowej nr 1.

W kolejnym numerze – 47/1995 znalazłam ją na zdjęciu z podpisem: „Odpowiada zwycięska drużyna SP1. Od lewej: Agnieszka Górecka, Magdalena Drózd, Agnieszka Szolkowska.” Obok informacja o Turnieju Niepodległości z wiedzy historycznej dla uczniów ustrońskich szkół.

W 1996 roku (nr 25) Magdalena Drózd uśmiecha się ze zdjęcia przy artykule pt. „Brąz pod koszem”, traktującym o tym, że „Dziewczęta z SP1 są bezkonkurencyjne w Ustroniu w piłce ręcznej i koszykówce.” O Magdalenie jest tam napisane: „Zawodniczka, której doskonale udaje się połączyć sport z nauką. Mimo że chodzi dopiero do VII klasy, wygrała w tym roku olimpiadę historyczną w województwie.” Pod zdjęciem podpis: „W drugim rzędzie od lewej: M. Kamieniorz, A. Rottermund, W. Wójcik, K. Ogrodzka; w pierwszym rzędzie: R. Rottermund, L. Zaręba, E. Deda, M. Herzyk, M. Drózd.”

Również w numerze 47 z tego samego roku Magdalena Drózd występuje na sportowo, zajmując 3. miejsce w Biegu Legionów dla uczniów. Jako uczestniczka tego samego biegu wymieniona jest w numerze 46/1999, jednak tym razem w biegu głównym dla dorosłych. Zajęła w nim 16. miejsce w klasyfikacji kobiet.

Wreszcie otwieram Magazyn Świąteczny Gazety Ustrońskiej z 2008 roku i znajduję artykuł, o którym wspominała znajoma. To ciekawa opowieść pt.: „Wyprawa w góry Pamiro-Ałaju”, zaczynająca się od słów: „Jeśli się beskidzkie gronie co dzień z okna ogląda – jakże głowy dla nich nie stracić? Co prawda wakacje w celach zdrowotnych obowiązkowo spędzałam nad Bałtykiem, ale z wiekiem coraz więcej czasu spędzałam na górskich wycieczkach, to w Słowacji, to w naszych Tatrach. Piesze wędrówki wciąż nie były tym, czego szukałam: trochę monotonnie, zdecydowanie za tłoczno. Szczęściem, kolega z harcerstwa zabrał nas na Kobylą Skałę w Wiśle, na wspinaczkę! Jedyne 15 metrów, ale jakie strome! I zaczęło się...” Zostawiłam na razie archiwum Gazety Ustrońskiej i sprawdziłam stronę internetową, której adres podała autorka artykułu: www.naszewspinanie.info.pl. Można tam znaleźć przekierowanie na bardzo ciekawego bloga, opisującego wyprawy Magdaleny Drózd-Ryś. Tak, Ryś, bo teraz pani Magdalena nosi również nazwisko męża – Adama Rysia z Jasienicy, tak jak i ona pasjonata gór i wspinaczki. O fakcie zamążpójścia również informowała Gazeta Ustrońska w numerze 2/2011 – numerze tysięcznym! – na str. 3 w Kronice Miejskiej w cyklu „Na ślubnym kobiercu stanęli”.

Monika Niemiec

Obecnie Magdalena Ryś mieszka w Austrii, nadal wspina się, podróżuje i opisuje wyprawy na blogu. Powyżej pozdrowienia z Nowego Jorku, który odwiedziła w 2015 roku.

PRZEDSZKOLAKI RATUJĄ DZIECI W AFRYCE

Sześciolatki z Przedszkola nr 7 w Ustroniu wzięły udział w ogólnopolskim projekcie edukacyjnym „Wszystkie Kolory Świata”, organizowanym przez UNICEF.

Jest to globalna akcja, która już po raz czwarty jest realizowana w Polsce. Jej celem jest wsparcie programów szczepień ratujących życie dzieci w najuboższych krajach świata.

W ramach akcji, przedszkolaki z grupy „Muchomorków” we współpracy ze starszymi kolegami z Gimnazjum Towarzystwa Ewangelickiego w Cieszynie, w dniu 30.11.2016 własnoręcznie zaprojektowały i uszyły szmaciane laleczki, będące symbolem pomocy, jakiej chcą udzielić swoim rówieśnikom z Angoli. Każdej z charytatywnych laleczek zostało nadane imię i przypisany kraj, z którego pochodzi.

Taką laleczką można zaadoptować, zaopiekować się nią, a jednocześnie uratować życie dziecka w Afryce, przekazując na ten cel darowiznę.

W akcję zaangażowanych było 25 dzieci 6-letnich oraz 18 gimnazjalistów z Gimnazjum Towarzystwa Ewangelickiego w Cieszynie z klasy 1 c, której wychowawcą jest Magda Karnacz.

– Poprzez udział w akcji chcieliśmy uświadomić dzieciom i młodzieży, że pomaganie może być przyjemne i wiązać się z pozytywnymi emocjami, a ponadto, że dzięki ich zaangażowaniu można uratować życie dziecka. Dodatkowo przedszkolaki mogły uczyć się współpracy ze starszymi kolegami i odwrotnie, co w efekcie przyczyniło się do powstania bardzo ciekawych i oryginalnych prac, dało wiele radości i satysfakcji z działania zarówno tym młodszym, jak i nieco starszym dzieciakom. Akcja spotkała się również z dużym zainteresowaniem ze strony rodziców, za co bardzo serdecznie dziękuję. Dziękuję również Magdzie Karnacz i jej klasie za chęć uczestniczenia w akcji, jak również pozostałym wychowawcom grupy „Muchomorków” Joannie Kokot i Katarzynie Porębskiej. Mam nadzieję, że podobnych akcji w przyszłości będzie coraz więcej. Już, zdradzę w sekrecie, planujemy kolejne działania z udziałem naszych przyjaciół z Cieszyna – mówi koordynator projektu Joanna Ryłko.

51/2016/11/R

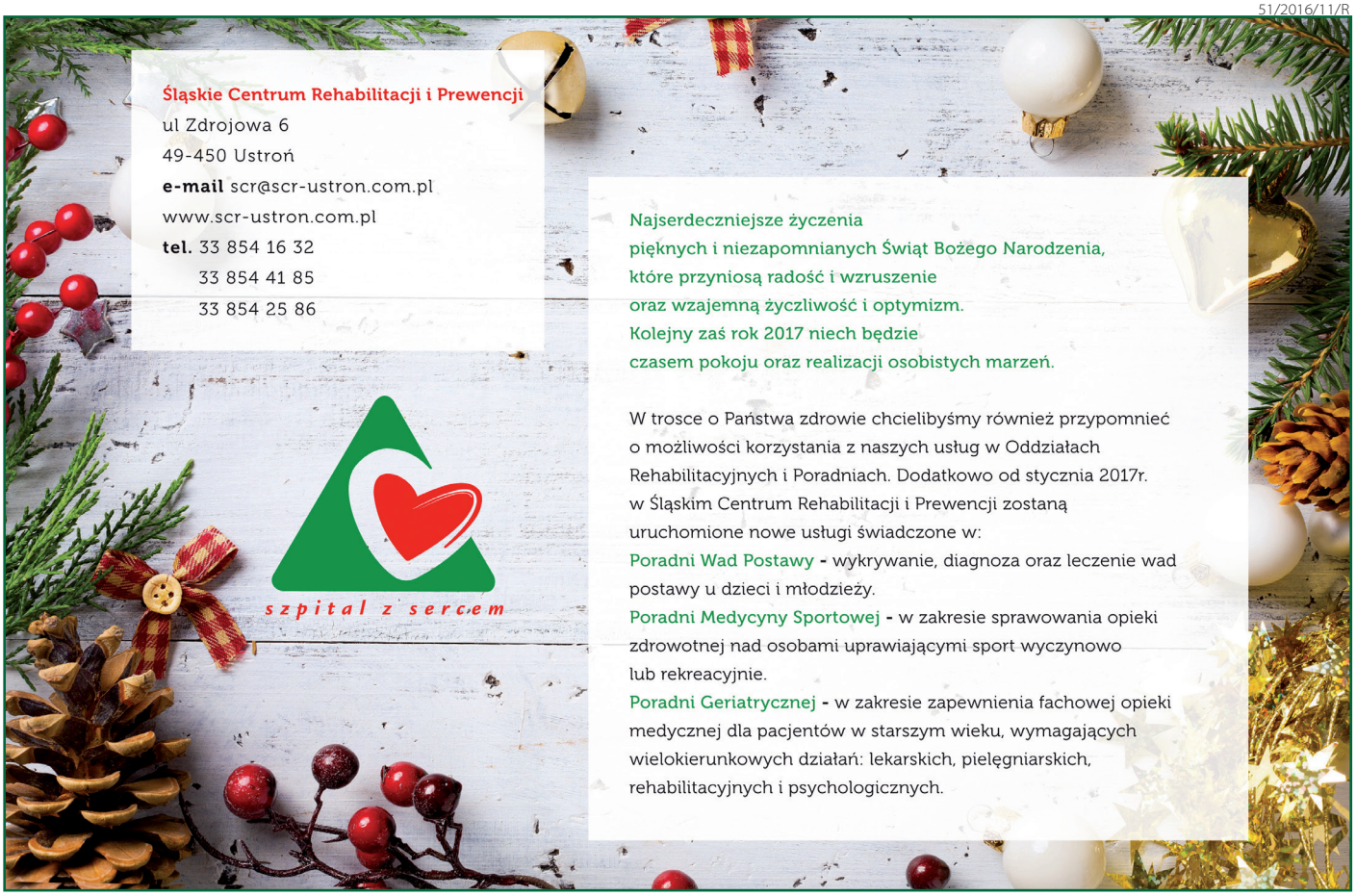

PUSTE MIEJSCE

Wigilia łączy rodzinę. Sprawia, że znikają spory i nieporozumienia, pojawia się radość, miłość i pojednanie. Wszyscy zasiadają do wspólnego stołu, na którym znajduje się jedno dodatkowe nakrycie. Nakrycie dla niespodziewanego gościa.

W sklepach wszelakie dekoracje i produkty nawiązujące do świąt Bożego Narodzenia. Ulice miast rozbłyskują świetlnymi ozdobami. W mediach reklamy mówiące o „magii świąt". Coca-colowy Mikołaj z prezentami, przemierzający czerwoną ciężarówką cały świat, a w tle piosenka „Coraz bliżej święta...". Wszystko to obecne jest już jakiś dobry miesiąc przed świętami Bożego Narodzenia, ba, niekiedy niedługo po święcie Wszystkich Świętych. Wiele osób wpada w szał zakupowy – bo trzeba kupić prezenty, bo trzeba pomyśleć nad menu świątecznym, bo zjedzie się rodzina, którą trzeba należycie podjąć. Bo w końcu zaraz po świętach sylwester, więc przy okazji trzeba pomyśleć też o tej rozrywce. Szał zakupów na dobre trwa.

Święta, święta…

... i po świętach. Stale słyszy się to stwierdzenie. Ludzie najedzą się, rozpakują prezenty, pośpiewają kolędy, wierzący pójdą do kościoła na uroczystą pasterkę o północy. Czy jednak w ferworze przedświątecznych zakupów, sprzątania i gotowania znajdujemy czas na głębszą refleksję? Rozmyślamy, czym są te święta? Jaką tajemnicę ma w sobie Boże Narodzenie? Boże Dziecię przychodzi na świat, przychodzi do każdego domu, aby wszystkim pobłogosławić i oznajmić, że po to przyszło między nas, aby nas zbawić. Zastanawiamy się nad tym, czy raczej te święta uważamy za taką tradycję, którą należy podtrzymywać, „a i tak święta trwają tylko dwa dni, potem Nowy Rok i znowu wszystko biegnie po staremu"?

Święta Bożego Narodzenia łączą ludzi. Uświadamiają, aby w te niezwykłe dni być dla innych i postarać się o to, aby na co dzień również znaleźć czas dla najbliższych, przyjaciół oraz osób potrzebujących wsparcia. Podczas Wigilii dzielimy się opłatkiem składając życzenia, obdarowujemy się podarunkami. Na większości stołów nie brakuje wspaniałego karpia, zupy rybnej lub barszczyku, kapusty, kompotu z suszu, regionalnych deserów. W niejednym domu pielęgnuje się tradycję 12 dań. Oczywiście nie można zapomnieć o dodatkowym nakryciu dla niespodziewanego gościa.

Oczekiwany?

Właśnie. Dodatkowy talerz na stole wigilijnym. Symbolizuje miejsce dla wędrowca, który nie dotarł na czas do swojego domu, dlatego też puka i prosi o gościnę w ten wyjątkowy wieczór. Miejsce to także symbolizuje bliskich zmarłych, o których się pamięta, zwłaszcza w ten dzień, i przygotowuje się dla nich nakrycie, aby mogli ponownie zasiąść z nami do wieczerzy. Niejednokrotnie rozmyślałam, co ludzie by zrobili, gdyby podczas Wigilii zapukał do ich drzwi ubogi lub bezdomny? Czy wpuściliby takiego człowieka pod swój dach? Postanowiłam zapytać znajomych.

– Oczywiście. Wykorzystałbym ten czas, aby dowiedzieć się, co tak naprawdę się stało, że ten człowiek znalazł się w tej sytuacji – mówi Mariusz Piotrowski z Siemianowic Śląskich.

– Jako dziecko wyczekiwałem na ten moment aż ktoś zapuka do drzwi. Chciałem, aby tak było. Czy teraz wpuściłbym ubogiego czy bezdomnego? Oczywiście. Bo w tych ludziach mieszka Bóg. Zresztą, nie tylko w Wigilię wpuściłbym takiego przybysza, ale także w zwykły dzień – stwierdza Łukasz Duda z Bielska-Białej. – Zdarzyło się kiedyś, że przy kiosku zobaczyłem pewną kobietę, która płakała. Podszedłem zapytać, co się stało, czy czegoś nie potrzebuje. Widać było, że jest bardzo biedna. Było jej wstyd prosić w ogóle o jakąkolwiek pomoc. Pamiętam, że zorganizowałem dla niej paczkę z jedzeniem na parę dni.

– Czy bym wpuścił? Tak, skoro mam przygotowane wolne miejsce – mówi Marcin Strzałkowski z Czańca.

Wszyscy moi koledzy zapewnili też, że wspomogliby takie osoby darem pieniężnym lub rzeczowym w postaci jedzenia czy ubrań. Z jednym moim kolegą, Markiem Grygierkiem z Jastrzębia Zdroju, udało mi się odbyć nieco dłuższą rozmowę na ten temat.

Jak postrzegasz osoby bezdomne?

Jak postrzegam bezdomnych? Ale w jakim sensie?

Czy oceniasz ich stereotypowo, po pozorach?

Nie wiem, jakie są stereotypy bezdomnych.

Że to nieroby, żyją tak, bo im tak wygodniej, byle mieć na alkohol.

Myślę, że to ludzie, którym coś nie poszło w życiu, albo coś złego się wydarzyło, co spowodowało, że tak teraz jest.

A uważasz, że taki człowiek chce wyjść z tego, czy raczej tkwi w tym trochę z własnej winy?

Może chce wyjść z tego, ale mu się nie udaje. Albo nie widzi innej opcji.

Co on może, twoim zdaniem, zrobić, żeby jednak jakąś inną opcję zobaczyć?

Powinien udać się do jakiejś placówki, która pomaga takim osobom. Są schroniska dla bezdomnych, w których na pewno jest informacja, jak z tego wyjść.

Ale zwróć uwagę na to, że np. w schroniskach obowiązują pewne reguły. Jeżeli człowiek bezdomny nie chce się do nich dostosować, to co wtedy?

Dostosowanie się do tych reguł to pierwszy i podstawowy krok. Jeżeli nie chce sobie dać pomóc, to na siłę nikt mu nie pomoże.

A co robisz, jeżeli człowiek taki chce od ciebie pieniędzy? Bo potrzebuje na życie?

Kupuję mu jedzenie.

Ale on nie chce jedzenia.

Czego zatem oczekuje?

Pieniędzy.

Pieniędzy nie daję. Wolę bezpośrednio kupić jedzenie.

A jeżeli ktoś by cię prosił o pieniądze, załóżmy, na ubiór dla dzieci, to skombinowałbyś ubiór czy dałbyś pieniądze?

Ciuchów bym nie kupował.

A zorganizowałbyś dla niego jakąś paczkę?

O, to już jest ciekawsza forma. Ale zastanowiłbym się. Nie wiem, trudno mi powiedzieć.

A co byś mu powiedział?

Hmm… najprawdopodobniej bym wypytał czy, to może być np. używana odzież.

Schludna, ale używana odzież?

Sam kupuję czasem w lumpeksach, więc uważam, że byłoby to dobre pytanie.

A jak byś się z nim dogadał co do przekazania mu tych rzeczy?

Osoby bezdomne szukały schronienia między innymi w zrujnowanym ośrodku wypoczynkowym „Kolejarz" w Nierodzimiu. Fot. M. Niemiec

W jakimś konkretnym miejscu. Nie narzucałbym takiego, raczej chciałbym, aby sam wskazał jakieś.

A nie obawiałbyś się, że może Cię oszukiwać albo napaść z innymi kolegami w tym miejscu?

Dlatego tylko znane miejsce będę ewentualnie akceptował. Nie żadne odludzie.

Gdy widzisz jakąś osobę bezdomną śpiącą w piwnicy czy na klatce schodowej, co robisz?

Zdarzyło mi się widzieć takie osoby na dworcu autobusowym albo na ławce. Ale nie budziłem ich.

A w zimie?

Nie spotkałem takich osób w zimie.

Dobrze. Przejdźmy teraz do Wigilii. Czy wpuściłbyś wtedy ubogiego czy bezdomnego pod swój dach?

Jeżeli ta osoba byłaby trzeźwa i nie byłaby pod wpływem innych środków odurzających... myślę że tak.

A jeżeli byłaby pijana? Wtedy byś jej nie wpuścił?

Nie. Choć… jeśli ja jej nie wpuszczę, bo pijana, to kto to zrobi?

Czyli wpuszczasz taką osobę na Wigilię. A jeżeli taka osoba bezdomna czy uboga zapuka w taki zwyczajny dzień i poprosi o pomoc?

Były już takie osoby u mnie. Generalnie to zależy od tego, czy dysponowałbym czasem.

Jeżeli się gdzieś spieszysz, co byś takiej osobie wtedy powiedział?

Przeprosiłbym i powiedziałbym, że nie mogę się spóźnić. Prosiłbym o to, aby przyszła kiedy indziej.

Hmm... ale jeżeli byłaby np. bardzo głodna i prosiła o jakiś ciepły posiłek?

No wtedy to bym coś szybko zrobił do jedzenia w zależności od tego, co miałbym w lodówce. Albo odesłałbym ją do brata, który mieszka niedaleko. Zawsze można coś wymyślić.

Trudne sytuacje

W Ustroniu ubodzy czy bezdomni przychodzą do Fundacji św. Antoniego. Postanowiłam tam pójść i porozmawiać z ludźmi, którzy znaleźli w niej pomoc. Moim zamierzeniem było poznanie ich historii wychodzenia z ciężkiej sytuacji życiowej, by przedstawić jakiś sposób na łamach tego magazynu.

Po wejściu do środka zobaczyłam parę osób krzątających się i sprzątających. Siedział tam również prezes Tadeusz Browiński. Podeszłam do niego i wyłuszczyłam sprawę. Był życzliwie nastawiony.

– Oczywiście, może pani spróbować. Zaraz kogoś tutaj zawołamy – powiedział, po czym wskazał na mężczyznę siedzącego niedaleko i popijającego gorącą herbatę. Pan ten nie był jednak skory do rozmowy. Niełatwo by mu było opowiadać o swoich przeżyciach obcej osobie tym bardziej, że historia ta mogła by się znaleźć w gazecie. Zawołano innego mężczyznę, ale on również odmówił rozmowy. Była jeszcze pewna kobieta, która także nie chciała opowiadać o swoim życiu. – O sobie nic nie powiem. I tak ludzie uważają, że wszyscy jesteśmy tutaj alkoholikami, którym nie chce się pracować, że jesteśmy pasożytami – powiedziała i rozpłakała się. – Straciłam niedawno syna. To bardzo bolesne przeżycie. Dzięki tej fundacji czuję, że jestem w domu, wśród najbliższych. Prezes to taki nasz drugi ojciec, któremu można powiedzieć wszystko, on zawsze nam pomoże. Można na niego liczyć – mówiła. Takie samo zdanie miały inne osoby, z którymi zetknęłam się podczas mojej wizyty w fundacji.

Dzięki ustrońskiemu biznesmenowi obiekt został wyburzony w roku 2014. Fot. M. Niemiec

Rozumiem tych ludzi. Nie jest łatwo opowiedzieć swoje, nieraz traumatyczne, historie życiowe. Nie zamierzałam wywierać na nich jakiejkolwiek presji czy zmuszać do czegoś, czego nie chcą robić. Wycofałam się z mojego pomysłu na artykuł. Już chciałam wychodzić, gdy nagle kobieta, która opowiedziała mi o stracie syna, spytała: – Może chciałaby pani zjeść u nas dobry obiad? Mamy najlepszego kucharza, który czyni cuda w kuchni. A dziś mamy kapuśniak.

Najpierw pomyślałam, że obiad czeka na mnie w domu, co też powiedziałam. Po chwili, gdy kobieta nalegała, życzliwie zapraszając do stołu, stwierdziłam, że zostanę. Był to bardzo miły gest w moją stronę, którego absolutnie się nie spodziewałam. Rozsiadłam się zatem wygodnie za stołem i zabrałam się za jedzenie obiadu, który okazał się bardzo smaczny. W międzyczasie gawędziłam z prezesem.

– Wie pani, przychodzą tu ludzie z różnych środowisk, z różnym bagażem doświadczeń. W miarę możliwości wszystkim pomagamy. Nasza fundacja otwarta jest do 15, w zimie do 17 – opowiadał. Zastanawiałam się, czy osoby przychodzące szukać tam schronienia mogą też przenocować. – Nie, nie prowadzimy tu noclegowni. Nie ma tu takich warunków. Te osoby o tym wiedzą. Noc spędzają w miejscach, które sobie znajdują lub wracają do swoich mieszkań, jeśli takie mają.

Darmowa żywność, pomoc drugiemu w potrzebie, roznoszenie obiadów, organizacja wigilijki czy wakacyjnych wyjazdów to działania, jakie podejmuje fundacja. Zaangażowane są w nie osoby, które tam przychodzą. Będąc w trudnej sytuacji życiowej podejmują działania na rzecz polepszenia życia innych. Siedząc tam i słuchając rozmów, przypatrując się zachowaniu i zwracaniu do siebie nawzajem, stwierdziłam, że niejeden mógłby uczyć się od tych ludzi szacunku i tego, co w życiu najważniejsze. Po pozorach łatwo można ocenić kogoś fałszywie, posądzić go o lenistwo, stoczenie się na własne życzenie, co powoduje w konsekwencji niechęć do tych osób. Oczywiście, tacy też są. Ja jednak zetknęłam się z osobami, które zdobywają się na piękne gesty. To, czego doświadczyłam w fundacji, życzliwość tych ludzi, ciepły posiłek, mimo że go nie potrzebowałam, dały mi do myślenia. Czy ja potrafiłabym się zdobyć na taki gest wobec potrzebujących, nie podczas świąt, ale tak zwyczajnie, na co dzień?

Chryste narodzony, narodzony
W Betlejym w stajynce
Błogosław bezdómnym, bezdómnym
W ich nyndzy – w udrynce!
(z „Kolyndy Bezdomnych" Marii Nowak)

Agnieszka Jarczyk

51/2016/12/R

Przed wojną F. Korcz posadził czereśnię, rosnącą do dziś.

Z ZIEMI WŁOSKIEJ DO POLSKI

Gdy wybuchła II wojna światowa Franciszek Korcz miał 14 lat, skończył szkołę podstawową i pracował w fabryce na wydziale maszynowym. Rodzina przyznawała się do polskości i była przez Niemców prześladowana.
Poprosiłem F. Korcza, by opowiedział o swych wojennych losach, tak charakterystycznych dla młodych chłopców ze Śląska Cieszyńskiego. Poniżej jego wspomnienie.

W 1942 r. aresztowano brata, a mnie wywieziono do pracy w fabryce produkującej amunicję pod Kassel, miejscowość Allendorff. Fabryka zlokalizowana w lesie, żadnych domów mieszkalnych, tylko baraki. W tej fabryce pracowało 20.000 osób różnych narodowości. Byłem tam do 1943 r., gdy przyszli zabrać mnie do wojska. Mówię, że jestem Polakiem, a oni, że matka podpisała volkslistę. Jestem niepełnoletni, więc liczy się decyzja matki. Zawieźli mnie do Chemnitz, tam odbyłem miesięczne przeszkolenie, a następnie przewieziono nas pociągiem do południowej Francji w okolice Bordeaux. W ciągu dnia wykonywaliśmy roboty ziemne, wykopy pod bunkry, a w nocy warta. Nie wszyscy młodzi chłopcy to wytrzymywali. Ja sobie radziłem, bo byłem przyzwyczajony do ciężkiej pracy. Inni w dzień pracowali, a nocą, gdy przyszła kontrola, to okazywało się, że spali na służbie. Też spałem, ale był ze mnie taki miglanc, że mnie nigdy nie złapali. Za dobre sprawowanie przekazano mnie do pilnowania małego miasteczka Leon, gdzie już nie musieliśmy pracować, tylko w nocy odbywały się patrole. Było nas tam pięciu żołnierzy, w tym czterech chłopców ze Śląska i austriacki dowódca. Odbywało się wszystko tak, że dwóch spało, dwóch patrolowało, a jeden dbał o jedzenie. Szybko poznaliśmy francuskie dziewczyny i one ostrzegały nas, że są partyzanci i niebezpiecznie jest chodzić w niemieckim mundurze. Mówiłem, że jesteśmy Polakami i chętnie tych partyzantów poznamy, przyłączymy się do nich. Potem zastanawialiśmy się, jak to zrobić, by Niemcy nie wymordowali rodziny w kraju. Dziewczyna powiedziała, że mnie skontaktuje i będziemy mogli dokładnie sprawę omówić. Burmistrz miejscowości Leon współpracował z partyzantami, ale pełnił swą funkcję wobec Niemców. Z nim ustaliliśmy, że w nocy będzie duża strzelanina. Niby, że zostaliśmy napadnięci, a burmistrz musi zaświadczyć o walce, że broniliśmy się, ale nie wiadomo co się z nami stało. Daliśmy też warunek, by Austriaka nie zabijali, tylko wzięli go do niewoli. Chcieliśmy tego, bo wobec nas bardzo porządnie się zachowywał. I faktycznie, burmistrz, gdy go pytano, mówił o wielkiej strzelaninie, a nas chyba gdzieś wywieziono i zastrzelono, albo wzięto do niewoli. Rodzice w Ustroniu otrzymali wiadomość, że jestem zaginiony i nie było żadnych konsekwencji. Natomiast my przez siedem miesięcy byliśmy we francuskiej partyzantce. Teren podobny do Istebnej, mieszkaliśmy w szałasach. Na dole droga główna z Bayonne do Bordeaux. Jak jechało niedużo niemieckich samochodów, to się je zatrzymywało i rozładowywało.

Po inwazji na Francję, Niemcy sami wycofywali się z południa. Bali się okrążenia. My zeszliśmy na dół do miasteczka Leon i tam dostałem z kolegą pokój w hotelu, mieliśmy nawet radio. Pojechałem też z jednym Francuzem do obozu jenieckiego sprawdzić, czy jest tam nasz Austriak. Był, a mogli go kropnąć. Uspokoiłem się, że z naszego powodu nie ma trupa. Miałem wtedy 19 lat i taką sytuację bardzo przeżywałem, a trzeba było o wszystkim decydować. Była susza i płonęły wokół lasy. Jeździliśmy do gaszenia nie tam, gdzie się pali, ale dalej 40 km i tam wyrąbywaliśmy przecinkę. Po gaszeniu był poczęstunek, a Francuzi wino piją dzień i noc. Mówię wtedy do naszych, że jest to jedyna okazja, by się stąd urwać i pojechać do armii polskiej. Miałem radio i nadawało o tym BBC, że polski oficer jest w Mont de Marsan i tam zapisuje do polskiego wojska. Zapisałem adres i rzeczywiście to był ten punkt. Opuściliśmy Francuzów bez pożegnania, a straciłem rzeczy pozostawione w hotelu, w tym zdjęcia z partyzantki - pięknie na nich wyglądałem.

Dotarliśmy do Mont de Marsan, a tam oficer zadeklarował, że przerzuci nas do zorganizowanej jednostki w Tuluzie. Gdy tam dotarłem, dostałem mundur, żołd i znowu byłem żołnierzem. Po miesiącu przewieziono nas do Marsylii, gdzie wsiedliśmy na okręty. Na Morzu Śródziemnym grasowały jeszcze U-boty, więc patrolował nas samolot przystosowany do ich wypatrywania i niszczenia. Tak przepłynęliśmy do Bari we Włoszech, a był to wrzesień 1944 r. Dostałem bezpośrednio przydział do VI pułku pancernego „Dzieci Lwow-

F. Korcz na cmentarzu w Bolonii.

skich". W pułku szkolenie na najłatwiejszą funkcję, a w czołgu to był radiooperator. Po trzech tygodniach byłem po egzaminie i od razu na front. Zimą nastąpiło przerwanie ognia, więc nas dalej szkolono, a my czekaliśmy wiosny.

10 kwietnia 1945 r. nastąpiła ofensywa. Włochy są tak zbudowane, że w poprzek przecinają je rzeki i niektórzy twierdzili, że są nie do przekroczenia, jeżeli będą bronione. Okazało się, że w pierwszym dniu, gdy samoloty zaczęły bombardować pozycje niemieckie, oni w ogóle nie wiedzieli co robić. Żadne schrony nie pomagały, wszystko zniszczono w pół godziny. Tego nie da się opisać, gdy trzysta samolotów zrzuca bomby na jeden brzeg. Mogliśmy posuwać się do przodu bez przeszkód. 18 kwietnia weszliśmy do Bolonii. Byliśmy pierwsi o świcie. Powiesiliśmy sztandar na rynku, ale nie na ratuszu. Po nas dopiero o godzinie 8 wkroczyli Anglicy, o 9 Amerykanie i dopiero wtedy sztandary zawisły na ratuszu. Niemcy nie mieli gdzie wracać i podpisali kapitulację już 20 kwietnia. Wiedzieli przecież, że lepiej pozostać we Włoszech, niż dostać się do niewoli Armii Czerwonej.

Przyszedł rozkaz, że Niemców należy rozbroić. Rzucali plecaki, karabiny, bo już była pewność, że wojna się skończyła.

Koło Stowarzyszenia Kombatantów Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie powstało w Ustroniu w 1993 r. Wcześniej musiano z Wielkiej Brytanii ściągnąć dokumenty dotyczące służby poszczególnych żołnierzy. Pierwszym prezesem był Adam Heczko, jego zastępcą Franciszek Korcz, który został w 1999 r. wytypowany do Zarządu Głównego w Warszawie. Jest członkiem Zarządu do dnia dzisiejszego, brał udział w wyjazdach do miast, które wyzwalali żołnierze polscy. Wielokrotnie uczestniczył w rocznicach bitwy pod Monte Cassino, w 2005 znalazł się w składzie delegacji uczestniczącej w audiencji u królowej Elżbiety, przez którą został odznaczony. Był także w delegacjach w Iranie, Tobruku, Bolonii. Artykuły o tych reprezentacyjnych wyjazdach F. Korcza ukazywały się w Gazecie Ustrońskiej. Pisaliśmy też o odwiedzinach delegacji ambasady brytyjskiej w Ustroniu i wspólnym z kombatantami SPSZZ złożeniem kwiatów pod pomnikiem Jana Cholewy, bohaterskiego lotnika RAF. Zresztą pomnik powstał przy niemałym udziale F. Korcza. Obecnie jest prezesem Zarządu Głównego SKPSZZ.

– Prezes zachorował i przesłał mi dokumenty, bym kierował stowarzyszeniem. Gdy zmarł przejąłem tę funkcję i ciągnę to do dnia dzisiejszego – mówi F. Korcz. – Kiedyś w Zarządzie Głównym było nas 10, potem 8, pozostało 3. Na kongresie żaden z kombatantów nie zgodził się na dokooptowanie do Zarządu, bo mają już ponad 90 lat i twierdzą, że nie nadają się do pracy w zarządzie, a to wiąże się np. z kilkusetkilometrowymi wyjazdami. Nasi kombatanci wymierają, pozostają jednostki. Członkami naszego Stowarzyszenia mogą być ludzie młodzi, ale oczywiście bez uprawnień kombatanckich. Staramy się ich przyciągać, jeżeli wyrażą chęć. Każdy może się zapisać do koła. Teraz przede wszystkim w kołach są żony kombatantów.

Podczas świąt państwowych delegacja SKPSZZ składa kwiaty pod pomnikiem Jana Cholewy.

Mnie w Ustroniu udało się wprowadzić do zarządu dwóch młodych ludzi. Jednak częściej koła rozwiązują się z braku członków. Ważne jest też to, by na uroczystościach reprezentować Stowarzyszenie w odpowiednim stroju, a przede wszystkim mieć na to czas. Sam miałem ostatnio zaproszenie od prezydenta, ale przecież nie pojadę do Warszawy, by się pokazać przez godzinę i wracać. W Ustroniu podczas świąt patriotycznych składamy wiązankę kwiatów pod pomnikiem Jana Cholewy.

W 2015 r. F. Korcz został laureatem odznaczenia Srebrnej Cieszynianki. W tym roku F. Korcz obchodził 90 rocznicę urodzin. Z tej okazji odbyło się z różnymi organizacjami wiele spotkań. Jak co roku w sierpniu uczestniczył w Warszawie na zaproszenie Prezydenta RP w obchodach święta Wojska Polskiego. Niestety z wielu zaproszeń musi rezygnować ze względu na stan zdrowia. Notował: **(ws)**

Te dziewczęta skontaktowały F. Korcza z partyzantami.

ECHA PRL-u W MIESZKANIU BABCI

5 marca tego roku w Muzeum Narodowym w Krakowie odbył się finał konkursu „W duchu PRL – konkurs na najlepszą stylizację”. Wygrała go Anna Łęczyńska z Ustronia, na co dzień pracująca w Miejskiej Bibliotece Publicznej. Podczas Cracow Fashion Week 2016 wystąpiła na profesjonalnym wybiegu, prezentując niepowtarzalny komplet uszyty z płótna drukowanego w kwiaty. Co ciekawe, strój pochodził z Muzeum Ustrońskiego, a przekazała go placówce, wraz z innymi ciekawymi ubraniami, Lidia Troszok.

Na udział w konkursie pani Anna zdecydowała się w ostatniej chwili, na dzień przed końcem zgłoszeń. Zgodnie z regulaminem, trzeba było wysłać zdjęcie w stroju z epoki. O wykonanie stylizowanych zdjęć poprosiła koleżankę Agatę Chrapek i panie zastanawiały się, jakie miejsce nadawałoby się na sesję fotograficzną. Początkowo planowały zdjęcia w plenerze, pani Agata wpadła jednak na pomysł, by jako scenografię wykorzystać wnętrza mieszkania jej babci. Był to strzał w dziesiątkę. Dzięki zdjęciom zrobionym w czwartek, w sobotę pani Anna była już w Krakowie na pokazie.

Konkursowe fotografie przenoszą nas w przeszłość, do lat 60., 70. ubiegłego wieku. Widoczne na nich meble, urządzenia, naczynia, ubrania, artykuły spożywcze były nieodzownym elementem życia w PRL. Pamiętamy je z naszych domów lub domów rodziców czy dziadków, ale teraz rzadko można je oglądać, bo wyprowadzano je z domów, gdy tylko była taka możliwość. Jednak wygląd rodem z PRL stał się modny, a młodzi ludzie poszukują mebli z tamtych lat, by tworzyć designerskie mieszkania.

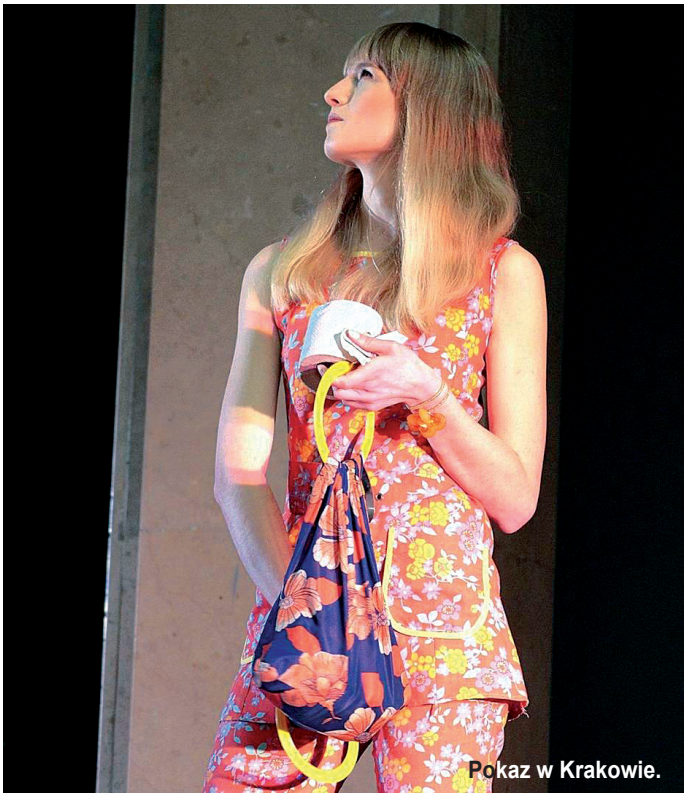
Pokaz w Krakowie.

Oglądamy zdjęcia, a Agata Chrapek snuje opowieść o babci i jej mieszkaniu, w którym wiosną tego roku wykonała niezwykle ciekawe zdjęcia. Dzięki nim jej koleżanka, Anna Łęczyńska, dostała się do prestiżowego konkursu zorganizowanego przez Muzeum Narodowe w Krakowie. Najważniejszym zadaniem dla fotografa było w tym przypadku przywołanie klimatu PRL-u. Udało się to w stu procentach.

Babcia pani Agaty – Marta Chrapek mieszkała przy ul. Daszyńskiego, w budynku, który dawniej zajmowała dyrekcja Kuźni. Mieszkanie składało się z kuchni ze spiżarką, dużego pokoju, przedpokoju i łazienki. Pani Agata bywała tam bardzo często, przynajmniej raz na tydzień i niezwykle miło wspomina te wizyty.

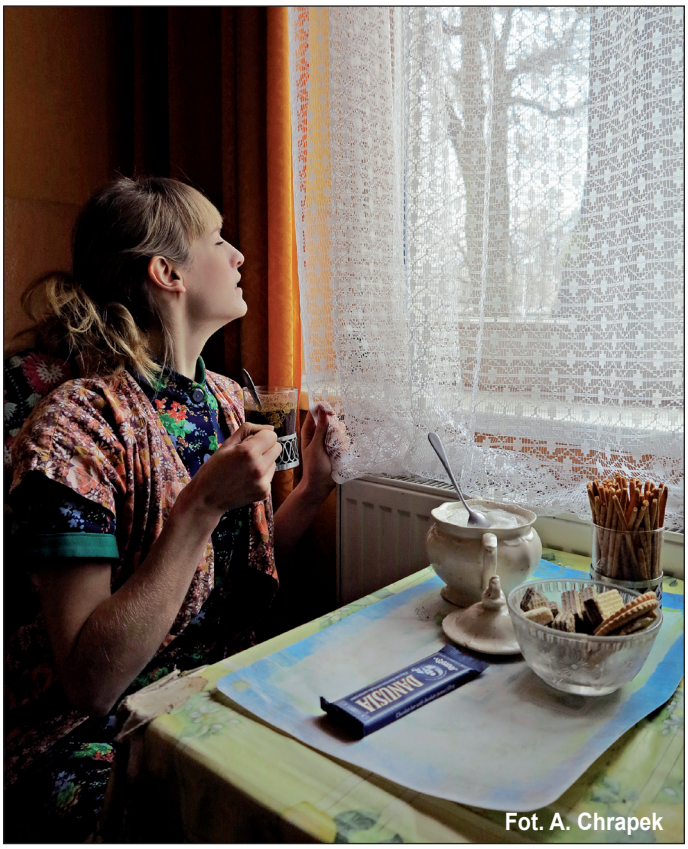
Fot. A. Chrapek

Fot. A. Chrapek

Babcia miała dla niej czas, częstowała herbatą i słodkościami. Ciasteczka, wafelki i to, co akurat można było kupić, zawsze leżały w szafce i czekały na gości.

Życie w mieszkaniu babci Marty toczyło się w kuchni. Tam było najcieplej i najmilej. Przytulne wnętrze ogrzewał tradycyjny piec z blachą, na której piekło się niezapomniane placki ziemniaczane.

Babcia Marta była oszczędną gospodynią. Niczego nie wyrzucała, zawsze starała się naprawiać zepsute sprzęty. Przywiązywała się do przedmiotów i dbała o nie. Dlatego też w kredensie stały szklanki sprzed dziesięcioleci, w szafie wisiały ubrania, a pralka Frania wciąż nadawała się do użycia.

Babcia Marta zmarła w tym roku, nie ma też już tamtego mieszkania... Pozostały wspomnienia i zdjęcia, które mogą je przywołać.

Monika Niemiec

Fotografie: **Agata Chrapek**,
Modelka: **Anna Łęczyńska**

29 V 1915 r. korpus oficerski 100. Cieszyńskiego Pułku Piechoty przed bitwą pod Gorlicami. **Autor: Zawatzky Alois**

NA FRONCIE I W CIESZYNIE

BITWA

Jakoż w dniu 2 maja po skoncentrowaniu pod Gorlicami 11 armji niemieckiej Mackensena, dokonano tu gwałtownego uderzenia, które przełamało front rosyjski i zmusiło dowództwo rosyjskie do stopniowego wycofania się z obszaru Galicji, a w ślad za tem z obszaru Królestwa Kongresowego.

Tyle o bitwie pod Gorlicami, rozpoczętej 2 maja 1915 r. napisał Wacław Lipiński w wydanej w 1935 r. książce „Walka zbrojna o niepodległość Polski 1905-1918". W „Wielkiej historii świata", wydanej przez Polską Akademię Umiejętności , w tomie 11 czytamy:

Rzecznikami podjęcia ofensywnych działań na wielką skalę na froncie wschodnim byli Hindenburg i Ludendorff, natomiast Falkenhayn, który stracił już wiarę w ostateczne zwycięstwo państw centralnych, godził się na akcję bardziej ograniczoną. W rezultacie owych sporów niemiecki sztab generalny opracował plan uderzenia na 3. armię rosyjską w rejonie Gorlic. (...) Łącznie, by przełamać front rosyjski między Magurą a Tuchowem, przeznaczono 18 dywizji, 1 brygadę piechoty oraz 1 dywizję kawalerii; w sumie 217 tys. żołnierzy, 1045 dział i 70 moździerzy.

Jeżeli zaś chodzi o armię rosyjską, to na linii ataku naprzeciw wojsk austro-węgierskich i niemieckich znajdowało się 80 tys. żołnierzy.

2 maja 1915 r. rozpoczął się atak państw centralnych. Najpierw przygotowanie artyleryjskie tysiąca dział, a następnie ruszyła piechota, posuwając się kilka kilometrów naprzód. Szacuje się, że poległo 17.000 Rosjan, straty austro-węgierskie to 8.000 poległych. Bitwa pod Gorlicami, już po wojnie, została określona mianem „małego Verdum". Same Gorlice zostały zniszczone.

Historyk wojskowości Edward Izdebski w armii austro-węgierskiej wylicza dziesięć różnych narodowości. Na każdych 100 żołnierzy przypadało 25 Niemców, 23 Węgrów, 13 Czechów, 9 Serbo-Chorwatów, 8 Polaków, 8 Rusinów (w tym Ukraińców), 7 Rumunów, 4 Słowaków i jeden Włoch. Ta mieszanina różnych nacji walczyła, ale przecież i po drugiej stronie frontu był konglomerat narodów i to nie tylko europejskich.

CIESZYŃSKI PUŁK

W bitwie pod Gorlicami uczestniczył 100. Cieszyński Pułk Piechoty dowodzony przez Franciszka Latanika. Żołnierze z tego pułku brali udział w krwawym starciu o wzgórze Pustki. F. Latanik notuje, że 3 maja było w cieszyńskim pułku 10 zabitych i 94 rannych, 5 maja 3 zabitych i 7 rannych, potem już tylko straty określa jako dotkliwe. Ciekawy w jego wspomnieniach jest opis oddziału zwiadowczego:

Złożony był z najodważniejszych ochotników, ludzi mniej sposobnych do parad i ćwiczeń, ale za to samodzielnych, nieustraszonych, zupełnie pewnych, bezwzględnych awanturników, szukających przygód zabijaków.

Pod Gorlicami walczył też 56. Wadowicki Pułk Piechoty, a w nim sierżant Karol Wojtyła, ojciec przyszłego papieża.

PRASA O BITWIE

Śląsk Cieszyński, z dala od frontów, jednak na co dzień żył wojną. Informacje prasowe to prawie wyłącznie komunikaty z Wiednia, tudzież przedruki z prasy austriackiej i niemieckiej. To nieco dziwne, bo austriacka kwatera główna znajdowała się w Cieszynie, a niemiecka w Pszczynie. Jednak austriackie serce biło w Wiedniu. Oczywiście wszystko było ściśle cenzurowane gdyż jak wiadomo, wszędzie się czaiła „znakomicie zorganizowana sieć szpiegowska".

Na pierwszych stronach tytuły: „Wielkie zwycięstwo w Galicyi zachodniej. Na razie 8.000 jeńców" - Robotnik Śląski z 5 maja, natomiast pod tym samym tytułem Gwiazdka Cieszyńska z 7 maja podaje już 30.000 jeńców, a artykuł zaczyna się od słów: „Szczęśliwem wydarzeniem rozpoczął się dziesiąty miesiąc wojny". Robotnik Śląski z 15 maja: „Dalsze zwycięstwa sprzymierzonych. Przeszło 100 tysięcy jeńców, 60 dział i 200 karabinów maszynowych; straty Rosyan dotąd już 150.000 ludzi".

Gwiazdka Cieszyńska 21 maja drukuje fragmenty listu żołnierza wysłanego 2 maja 1915 r.:

Gazety nie mamy żadnej. Jestem już cały taki zdziczały, że gazety mię nie mogą nic interesować. Nie mam też ani czasu na czytanie. Jeżeli jest trochę czasu, to się idziemy kąpać i pierzemy chusteczki, koszule i t.p. Co wszystko jeszcze robimy, mogę tylko ustnie opowiedzieć, jeżeli Pan Bóg to szczęście da tego dożyć. Dzisiaj ani jednej chmurki na niebie. Prawdziwa niedziela! Ani strzelać nie słychać. Tylko ptaszki ładnie śpiewają, między nimi słychać także kukułkę; w lesie widać dużo jastrzębi, kosów, drozdów i t.d. Muszę sobie pomyśleć, że jestem na świeżem powietrzu. Tylko mi tego nie zazdrośćcie! Jeszcze to jest dobre, że mamy ładną pogodę. Widok z takiej góry nie do opisania, ładny! Nie wiem, czy i w Szwajcaryi tak ładnie?! Lecz cóż z tego, kiedy tutaj człowiek nie wie godziny, ni minuty, kiedy granat przyleci i zrobi koniec życia ludzkiego.

ROSJANIE

Poszlim, znaleźlim Moskala w lesie,
Moskal ze strachu spodniami trzęsie,
Zaraz czapki pozrzucali,
Białe chustki wyciągali:
„Nie strzelaj, bracie"!

Przytacza 9 maja 1915 r. Poseł Ewangelicki żołnierską przyśpiewkę do muzyki popularnej kolędy. Dalej są opowiadania rosyjskich jeńców pojmanych w bitwie pod Gorlicami. Jeden z nich mówi:

Było to piekło, które rozwarłwszy się nad rosyjskimi pozycyami, pochłonęło pułki, brygady, dywizje i stliło je na żużel. W jednej dywizji rezerwowej wszyscy ge-

nerałowie i oficerowie padli lub odnieśli rany. Zaszły liczne wypadki obłąkania.

Generalnie w gazetach państw centralnych opisuje się armię rosyjską jako zbieraninę, często w łapciach i cywilnych ubraniach, obdartusów, a ich zwierzchnictwo jako ludzi wybierających raczej osobiste korzyści niż walkę i subordynację. Robotnik Śląski donosił:

Patrol austryacki, złożony z pięciu żołnierzy i podoficera wszedł do kościoła, gdzie w ich ręce dostał się łup niespodziewany! Wzięto tam do niewoli pułkownika i czterech oficerów rosyjskich, którzy zabawiali się w zakrystyi grą w karty.

Żołnierze rosyjscy chętnie szli do niewoli, bywało że trzech Austriaków w jednej wiosce, chałupa po chałupie, wzięli stu jeńców.

To po bitwie. Ale gdy opisywany jest bój, to Rosjanie mają kolosalną przewagę, są świetnie zorganizowani, co „stawia naszą armię w krytycznym położeniu". I tylko geniusz dowódców niemiecko-austriackich pozwala zwyciężać.

Car nie cieszy się popularnością. Gdy przybył do Lwowa tak opisywał to 6 maja 1916 r. Dziennik Cieszyński:

Żołnierze tworzyli kordon wzdłuż drogi. Cywilne osoby, znajdujące się w tyle kordonu, czyniły wrażenie agentów policyi. Resztę publiczności tworzyły rodziny rosyjskich oficerów i urzędników, tudzież osoby bez poczucia godności.

APROWIZACJA

Dziennik Cieszyński 4 maja 1915 r.:

Chleb wypiekany obecnie w Pradze w większej części nie tylko nie czyni zadość prawnym wymogom, ale zawiera części składowe dla ludzkiego żołądka niestrawne i w ten sposób przyczynia się do powstawania katarów żołądka i kiszek. W licznych piekarniach piekarzy, chleb nie zawiera wogóle mąki pszenicznej ani też żytniej, ale wypieka się go z mąki, przeznaczonej na karmienie prosiąt, z ziemniaków gotowanych w łubinach z dodatkiem mąki kukurydzianej i z mielonych trocin drzewnych, mąki ze zboża używa się tylko do posypywania, aby chleb zewnętrznie przybrał zwykły wygląd.

Gazeta konstatuje, że zawód piekarski w Pradze okrył się hańbą.

Są też lokalne trudności z żywnością. Robotnik Śląski 5 maja tak to wyjaśnia:

W Cieszynie przyznał niedawno burmistrz publicznie na jawnem posiedzeniu Rady miejskiej, że ze strachu przed inwazyą rosyjską zaniedbano obowiązek zaopatrzenia miasta w środki żywności na czas wojny. Podobnie ma się rzecz w innych miejscowościach Śląska i Moraw Północnych, gdzie panuje wszechwładnie kapitał niemiecko-żydowski. Obecny czas wojenny jest dla handlarzy żywnością – czasem najobfitszego żniwa, tem obfitszego, że powolne ich woli i rozkazom magistraty gminne palcem nie ruszą, aby koniec położyć lichwie.

Do dziś mamy wielu zwolenników teorii, że to jednak wszystkiemu winien „kapitał niemiecko-żydowski". Ale żeby takie sformułowania w lewicowej prasie. Niewyobrażalne. Tym trudnościom można jednak przeciwdziałać. Gwiazdka Cieszyńska 21 maja 1915 r.:

W Morawce pozostało tylko coś ponad 10 koni; odeszło też około 600 mężczyzn na wojnę. Pola trzeba było zaorać i obsiać. Co tu robić? 10 do 12 kobiet zaprzęgło się do pługa, a jeżeli był jeden lub drugi mężczyzna, to tem lepiej. Tak orały góralki w Morawce i mimo kamieni, po których pług ciężko idzie, ukończyły prace rolne. Potrzeba dokonuje cudów dzielności i wytrwałości.

Brak koni, mężczyzn, wojna, to sprawy ważne, ale jednak interes interesem. Każdy numer Robotnika Śląskiego kończy reklama: „ Robotnicy! Nie pijcie innego piwa tylko: najtańsze i najlepsze jest piwo z pierwszego Robotniczego Browaru w Radwanicach! Żądajcie go wszędzie. Nie uczęszczajcie do lokalów, gdzie nie ma Waszego piwa".

ŻYCIE CODZIENNE

Robotnik Śląski jako pismo socjalistyczne zwracał szczególną uwagę, w dozwolonych granicach, na położenie klasy robotniczej, głównie w trzynieckiej hucie. Z 8 maja 1915 r. jest notatka o wypadkach:

Stosunki, panujące obecnie w hutach trzynieckich, odzwierciedla najlepiej długa litania wypadków ciężkiego okaleczenia, jakie tu się niemal codzień wydarzają.

Po kilku dniach na celowniku znalazł się jeden z majstrów:

W magazynie żelaza jest majsterek, nazwiskiem Jan Dzik, który wrócił z wojska, jako reklamowany. Pan Dzik stara się w pocie czoła, aby nie zrobił wstydu swemu nazwisku, bo obchodzi się z ludźmi jak najgorzej. Dniówki, oznaczone od dawna na 4 korony za szychtę, chce koniecznie zmieniać na płacę akordową po 2 korony od wagonu, chociaż obecnie wysyłek jest tak mało, że nie ma pojedynczego robotnika, gdyby wszystkich chciano zatrudnić, nie wypadnie po 3 korony dziennie.

Wiele w prasie spraw codziennych dowodzących, jak ciężko było żyć. W Gwiazdce Cieszyńskiej anons:

Uwiadomienie. Franciszek Kamiński, woźny sądowy z Kamionki Strumiłowej, uwiadamia żonę swoją Franciszkę Kamińską, która miała przebywać w barakach w Cieszynie, że jest zdrów, lecz bez wszelkich środków do życia.

Są i poważne sprawy karne. W Morawskiej Ostrawie odbył się proces byłego burmistrza, inżyniera miejskiego i kupca. Napisał o tym Poseł Ewangelicki z 9 maja 1915 r.:

Wszyscy oskarżeni byli o zdradę stanu; akt oskarżenia zarzucał im, iż z powodu upadku Lwowa urządzili sobie bankiet w mieszkaniu dra Hrstki. Rozprawa trwała przez cały dzień; sąd przesłuchał 40 świadków.

Dalej informacja, że wszystkich oskarżonych uniewinniono.

POCIECHA

Pod Gorlicami trwała rzeź, zaś Dziennik Cieszyński 4 maja 1915 r. donosił optymistycznie:

Dzisiaj, kiedy krwawe zapasy wojenne nieproporcjonalnie zwiększą liczbę kalek, interesująca staje się kwestya zastąpienia utraconych członków sztucznemi. Jak wysoko stoi obecnie technika budowy sztucznych rąk i nóg, dowodzi tego demonstracya pewnego kaleki, dokonana w Wiedniu w Towarzystwie lekarskiem. Kaleka ów, człowiek około 38 letni posiada obie ręce i nogi sztuczne, i przy ich pomocy, zupełnie prawie jak normalny człowiek – stoi, chodzi, biega, odbywa codzienne spacery po 16 kilometrów, dalej, posługując się sztucznemi rękami o ruchomych palcach – pisze, je, pije, ubiera się i rozbiera. **Wojsław Suchta**

2 V 1915 r. Żołnierze 100. Cieszyńskiego Pułku Piechoty podczas ataku na wzgórze Pustki w bitwie pod Gorlicami. Widoczne ciężkie karabiny maszynowe Schwarzlose wz. 07/12 z tarczami ochronnymi. Autor: Zawatzky Alois

WIDZIAŁ WIĘCEJ

– Wiele czasu spędziłam z artystą i to on zaszczepił we mnie zainteresowanie sztuką, które pozostało do dzisiaj. Skupmy się jednak na osobie Karola Kubali – mówiła Izabela Procner podczas spotkania w MDK „Prażakówka” poświęconego właśnie Karolowi Kubali. Spotkanie zostało poprzedzone konkursem na interpretację jednej z prac artysty lub polemikę z wypowiedzią Tadeusza Kantora „Niech sczezną artyści”. Nagrodzono pracę Karola Brudnego, którą publikujemy obok.

Karol Kubala (1936-2013) ukończył Wydział Rzeźby ASP w Krakowie. Po studiach pracował jako plastyk w Ustrońskiej Kuźni i właśnie z Ustroniem był związany przez całe życie, będąc także radnym. Z jego dziełami spotykamy się na co dzień, bo są to pomniki Jana Cholewy, ku czci rozstrzelanych 9 listopada, Jana Sztwiertni, a także tablice pamiątkowe. Był autorem scenografii wielu znaczących imprez w Ustroniu, projektantem wystroju wnętrz kościołów, kawiarni. O jego zainteresowaniach, działaniach, sztuce mówiono podczas spotkania w „Prażakówce”. Publikujemy fragmenty wypowiedzi o artyście.

Biskup diecezji cieszyńskiej Kościoła ewangelicko-augsburskiego ks. Adrian Korczago:

– Gdy wznoszono kościół w Bładnicach, wchodzę do środka, przyglądam się betonom i mówię sobie: „Ci parafianie będą nas do końca dni przeklinać”. Zaprojektowano nam powalające tony betonu, przechylające się w stronę człowieka. Wtedy z pomocą przyszedł pan Karol, który w chłodzie, mrozie, w kościele jeszcze bez okien, przyglądał się. (…) Te powalające betony zostały zamienione w lekkość chrystusowej miłości. Uczynił z nich drzewo życia i w sposób fenomenalny powiązał starotestamentowe drzewo poznania dobra i zła, które przyczyniło się do oddalenia od Boga, z postawionym pod nim krzyżem i powiedział: „A to jest drzewo życia”. Pan Karol zrobił też coś, co mi nigdy się nie udało: przekonał Radę Parafialną, że ławki kościelne mają być w kolorze dziwnej zieleni. I radni decydują się na niewyobrażalną awangardę w kościele, bo przecież ławki muszą być brązowe. Stwierdzili: „Jeśli pan Karol tak mówi, to on widzi to dobrze i my ufamy”.

Architekt Halina Dzierżewicz:

– Gdy walczyłam o sprawy architektoniczne w mieście, miałam w nim poparcie. Zachował się dokument z naszymi dywagacjami na temat reklam i oczywiście do tej pory sprawa jest aktualna, bo miasto jest zasypane banerami, różnymi paskudztwami i nie jest to ładne. Wiele wspólnych przeżyć mieliśmy z uruchomieniem Caffe Europa. Zaprojektował piękne wnętrza w stylu wiedeńskim, niestety, pozostały po nich tylko wspomnienia.

Dyrektor Muzeum Ustrońskiego Lidia Szkaradnik:

– W 1972 r., gdy się zorientowano, że muzeum nie powstanie, na dwa miesiące przed obchodami 200-lecia zakładu zdecydowano o powstaniu sali historii w Zakładowym Domu Kultury „Kuźnik”. Sala miała powstać w piwnicy i wydawało się niemożliwe utworzenie jej w dwa miesiące, a jednak powstała przy ogromnej aktywności Jana Nowaka, Józefa Pilcha i Karola Kubali, który tworzył wszystkie elementy wyposażenia. Wykonywał nie tylko projekty, ale realizował całą wystawę plastycznie. (…) Karol Kubala miał taki autorytet w zakładzie, że gzymsy okna i drzwi w powstającym Muzeum Hutnic-

twa i Kuźnictwa tworzył sam. Jego projekty były zawsze proste, profesjonalne i znakomite w swojej wymowie. Kraty i balustrady nie mają zbędnych ozdobników, a jedynie np. motyw kleszczy kowalskich. Wszelkie elementy podkreślały techniczny charakter Muzeum.

Wiceprezes Stowarzyszenia Twórczego „Brzimy" Andrzej Piechocki:
– Zawsze podziwialiśmy go za to, że potrafi ważyć słowa. Prowadził warsztaty, a przychodzili też ludzie kiepsko rysujący. Z jakim umiarem i kulturą zwracał mądrze uwagi. Podobnie na wernisażach mówił spokojnie, w sposób wyważony, ale zawsze były to mądre słowa. I jeszcze miał duży dystans do takich wynalazków jak multimedia. **Wojsław Suchta**

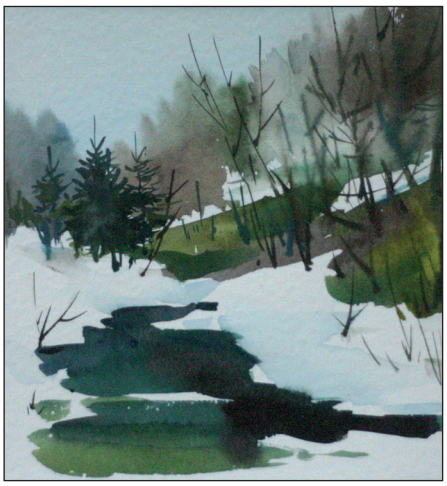

Karol Brudny

Rozterki z widowiska Tadeusza Kantora „Niech sczezną artyści"

Tadeusz Kantor, jako twórca widowiska „Niech sczezną artyści" czerpie pomysł i puentę ze środowiska zwanego bohemą artystyczną, którego sam jest cząstką. Wyjaśniając pojęcie bohemy w encyklopedii czytamy tam pod tym hasłem, że jest to środowisko, którego członkowie spędzają czas na wspólnych zabawach i tworzeniu, demonstrując pogardę dla konwenansów, norm społecznych i materializmu. Działalność cyganerii artystycznej wzbudza kontrowersje ze względów obyczajowych i ze względu na awangardowe podejście do sztuki".

Gdyby spojrzeć na życie artysty przez pryzmat widowiska stworzonego przez Tadeusza Kantora, należałoby ustalić, gdzie w życiu konkretnego artysty usytuować drzwi, spełniające w nim tak ważną rolę, a także:

• realizację misji życiowo zawodowej w lustrze życia i śmierci artysty,

• jego stosunek do otaczającego go świata w różnych okresach jego życia.

Identyfikatorem uniesień artysty w tym widowisku mógłby być tkwiący w nim także świat dźwięku, przedstawiany w efektach audio (w tym także jego patos). Zaprezentowane w widowisku formaty i symbole (właściwe bohemie), opisujące życie i kształtujące go wartości, zrealizowane dokonania, skojarzone z nimi rozterki, jak mniemam, są już bardzo indywidualne, w zależności od przedmiotu czy też dziedziny, jakimi zajmuje się konkretny artysta oraz do jakiej należy on (lub nie) „bohemy".

* * *

Jeżeli do tak zdefiniowanego wzorca przystawić osobę artysty rzeźbiarza Karola Kubali, to upadnie wiele wątków nadających sens podejmowanej w szczegółach polemiki z przesłania rozważanego widowiska.

Zacznę od lokalizacji rzeczonych „drzwi". Te zapewne należałoby umieścić w Nierodzimiu, a może w Krakowskiej ASP, najpewniej jednak w Ustroniu. Lokalizacja ta jest jak spektrum jego fizycznej obecności i potencjalnych możliwości tworzenia, realizowanego rzeźbieniem materii, z jaką przyszło mu się zmagać. Był w tych sprawach na swój sposób mistrzem. Trzeci wymiar w sztukach plastycznych, w którym szkolił się pod okiem mistrzów (w tym Jacka Puget) w ASP, był mu znany choć główny nurt jego artystycznych działań był bardziej „meandryczny" w zmaganiach z przestrzenią, w której tworząc szukał ładu i piękna.

Rozpoczynająca widowisko „akcja" umierania artysty w tym przypadku musiałaby odnosić się do czasu, kiedy Karol Kubala wskutek splotu postępujących chorób tracił manualne zdolności twórcze. Wtedy jak w widowisku zachodzi zjawisko bilokacji, a w poszukiwaniu drugiego „ja" dochodzi do agonii tego „ja", które stanowiło o osobowości artysty.

Był kompletnym artystą, operującym zarówno kształtem, kolorem, światłem, a także grającym mu w duszy dźwiękiem. Powracająca w widowisku, z patosem podkreślającym patriotyczne uniesienia, pieśń „Pierwszej Brygady" w jego życiu miała inny wektor, nakierowany na małą ojczyznę i jej pieśni. Grał „ze słuchu" w czasie rodzinnych spotkań i przywracania równowagi ducha. Dźwięki wydobywane z akordeonu porządkowały, przywracając ład otaczającego go świata, który chciał okiełznać także muzyką. Nieobce były mu techniki przekazu i operowanie symbolem w którym jak w widowisku jego autor był wnikliwy. Czymże była stworzona przezeń „Czantoryjka" – logo wody ze źródła „Budzi Głód". Była zwieńczeniem prowadzonych „bilokacyjnie" rozważań, które doprowadziły do symbolu, o urzekającej prostocie dziewczyny, zgodnego z zasadą (w malarstwie) trzech kolorów, w tym kolorów słońca i lasu – ekologicznego przesłania źródła. To co charakteryzowało naszego bohatera znajdujemy także w koncepcji ogólnej widowiska. Jest nią brak werbalnego dialogu z widzem. W rzeczywistości podejmowany przez Karola Kubalę werbalny dialog był przez niego samego wyciszony, zapewne z osobistej skromności, bo to, co chciał przekazać, robił za pomocą dłuta, pędzla, ołówka lub pióra.

W końcowej konkluzji prowadzonych tu rozważań należy stwierdzić, że Karol Kubala by być artystą, nie potrzebował wsparcia bohemy, co także przysporzyło mu wiele środowiskowej sympatii, nie tylko wśród ludzi szeroko pojętej kultury!

51/2016/13/R

Uczestnicy pleneru w Hajdunanas zwiedzili największą, liczącą 4 tys. sztuk, hodowlę bydła.

PLENERY, ACH PLENERY

„Brzimy" na dobre ukorzeniły się w Ustroniu, ale artystów ciągnie w daleki świat. Stowarzyszenie jeszcze nie organizuje wyjazdów do Japonii, ale kto wie... Wybitnych japońskich artystów ustroniacy już mogą nazywać przyjaciółmi, a grono znajomych z różnych stron świata powiększa się z pleneru na plener...

Plener I

Pierwszy w tym roku wyjazd miał miejsce początkiem wakacji. Od 3 do 10 lipca w Ermihalyfalvo w Rumunii przebywało czworo ustrońskich artystów. Miasto leży wprawdzie poza granicami Węgier, ale zamieszkuje je mniejszość węgierska – ludzie otwarci, gościnni i życzliwi. To partnerzy naszego miasta partnerskiego – Hajdunanas. Na zakończenie pobytu Polaków tradycyjnie zorganizowana została wystawa poplenerowa. Praca w uroczym miasteczku zaowocowała ciekawymi obrazami, a także współpracą z Evą Lorenzovą, która dwie nasze artystki zaprosiła na...

Plener II

Do miasta Fulnek w Czechach pojechały na zaproszenie miejskiej galerii, ale rolę gospodyni pełniła pani Eva – niezwykła osoba z wielkim sercem. Jak mama czy babcia opiekuje się przybranymi dziećmi, a gdy ludzie pytają, ile ma wnucząt, odpowiada, że to zależy, czy ma liczyć biologiczne, czy wszystkie. Oprócz tego ma artystyczną duszę, a swoje emocje przelewa na płótno.

Plener III

Od 18 do 28 lipca ustrońscy artyści tworzyli w Hajdunanas. Plenery w węgierskim mieście partnerskim zaczynają się wystawą, na którą przywozi się prace wykonane w czasie międzyplenerowym. Na wernisażu przeważnie obecny jest burmistrz Tibor Zoltan, samorządowcy, tamtejsi artyści i media, z lokalną telewizją na czele. Podczas tegorocznego pleneru zawiązała się przyjaźń ze znana polską artystką Małgorzatą Maćkowiak, z radością witano też poznanych podczas wcześniejszych plenerów Japończyków. Plener trwa 10 dni, które wypełnione są pracą. Popołudniami i wieczorami gospodarze organizują wycieczki i zapraszają ustroniaków na kolacje. W tym roku oglądano m.in. miejską farmę, gdzie reintrodukuje się dawne gatunki zwierząt zamieszkujących pusztę – krowy z długimi rogami, kudłate świnie i miniaturowe osiołki.

Plener IV

Sezon plenerowy kończy międzynarodowy zjazd w Brennej, o którym pisaliśmy w GU 35/2016. W Dworku Myśliwskim „Konczakówka" w Brennej artystów goszczą Lasy Państwowe, a ustroniacy starają się zapewnić atrakcyjne rozrywki przyjaciołom z Rumunii, Węgier i Niemiec. W tym roku zorganizowano wyjazd do nowoczesnego gmachu Muzeum Śląskiego w Katowicach, gdzie m.in. zwiedzano Wydział Grafiki i oglądano prace Pawła Stellera. Wystawa poplenerowa prac stworzonych podczas pobytu w Brennej odbędzie się w lutym 2017 w Galerii Rynek Kazimierza Heczko, ale już dziś można tam oglądać i kupować prace członków Brzimów i ich przyjaciół. **Monika Niemiec**

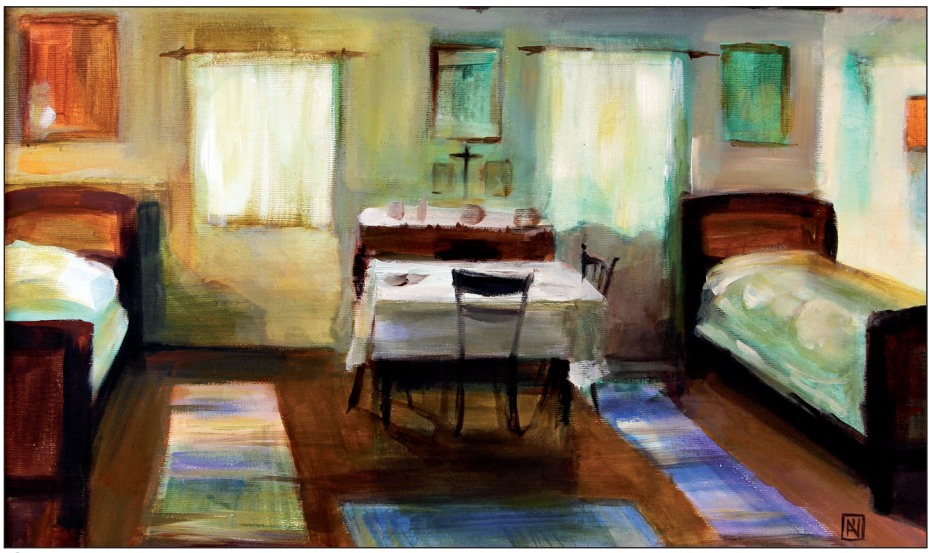

Ágnes Nagy.

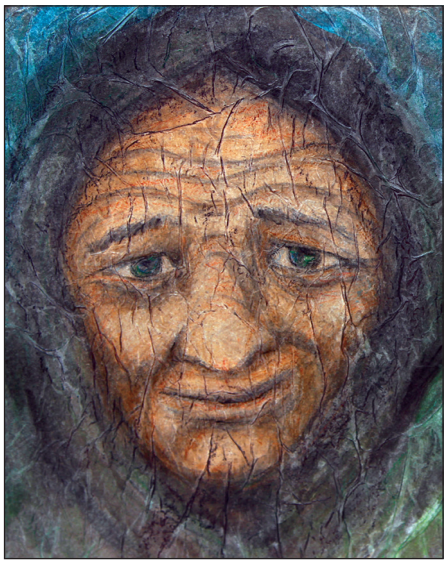

Andrzej Piechocki.

Andrzej Piechocki.

Birgit Kalke.

Gabor Papp.

Marion Maas.

Gabor Papp.

Iwona Dzierżewicz-Wikarek i jej obrazy z Hajdunanas.

51/2016/14/R

Niech magiczna noc
Wigilijnego Wieczoru
przyniesie Wam spokój
i radość, a każda chwila
Świąt Bożego Narodzenia
żyje własnym pięknem.

Życzy załoga
Kolei Linowej Czantoria

BLIŻEJ NATURY

Nie zostawiajmy podnosków

Czas świąt Bożego Narodzenia to czas wyjątkowy. Przepełniony nie tylko treściami religijnymi, ale również obyczajami, zwyczajami, obrzędami, rytuałami i symbolami mającymi swe korzenie w wierze chrześcijańskiej, ale często sięgającymi znacznie głębiej, w czasy i obrządki pogańskie. Wielu z naszych przodków – tych odległych o stulecia i wiele pokoleń, ale także tych, od których dzieli nas ledwie kilka dziesiątek, a nawet i mniej lat – wiodło swoje życie podporządkowane zmianom pór roku, było uzależnionych od tego, czym obdarzyło ich własnoręcznie uprawiane pole, co zdołali wyhodować na pastwisku, w oborze, bądź w kurniku. Nie zawsze było tego dość, toteż święta – bez względu na ich proweniencję – były czasem szczególnym nie tylko pod względem religijnym, ale również od tej jakże przyziemnej strony, czyli od strony zastawionego stołu i sytych posiłków. Jedzenia, którego często bywało mało przez cały rok, na święta – „godowe", Bożego Narodzenia – nigdy nie mogło zabraknąć! Echa tej tradycji, czy też podejścia do życia przebrzmiewają w przysłowiu: „Człowiek najy się dwa razy w roku – w tą świętą wilije i jak się świnia zabije". Dzisiejszy artykuł także będzie o świątecznych potrawach i jedzeniu, ale w nieco innym ujęciu – niestety, raczej w niezbyt miłym i poniekąd mało odświętnym.

Jan Szymik w swoich „Dorocznych zwyczajach i obrzędach na Śląsku Cieszyńskim" tak oto opisuje tradycyjne potrawy i zwyczaje związane ze spożywaniem bożonarodzeniowych posiłków: „Rano w Boże Narodzenie (…) gospodyni na śniadanie dawała na stół brytfannę upieczonych, chrupiących jelit – kaszankę, krupnioki, gorącą domową kiełbasę z bułką lub chlebem oraz babkę z mlekiem i placek (kołocz), tzw. „piętrowy" (tj. z warstwą maku i twarogu oraz posypką) lub kołacz z jabłkami, a do tego białą kawę zbożową z dodatkiem prawdziwej. (…) Na obiad podawano zwykle wołowy lub kurzy rosół z makaronem i wątrobianymi kluseczkami, gęsinę, kaczkę, częściej jednak indyka, ziemniaki i sałatę z modrej kapusty oraz kompot z renklod i leguminę. W zasadzie cały pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia przebywano przy wspólnym stole, delektując się jadłem i smakołykami, gawędząc, opowiadając jak to *hań downi* bywało (…). Kolacja również była świąteczna, wystawna (…)". Czyli było „na bogato" i inaczej niż na co dzień, ale J. Szymik dodaje odnoszącą się do wigilijnej wieczerzy ważną uwagę: „Przestrzegano, aby każdy (…) zjadł wszystko, nie zostawiając *podnosków* – niedojedzonych resztek na talerzu". I dzisiaj kontynuujemy to tradycyjne podejście do świątecznych posiłków, nie tylko serwując na wigilijny i świąteczny stół stosowne, bowiem przekazywane z pokolenia na pokolenie potrawy i pilnie przestrzegając właściwej ich liczby (chociaż jakież to mają być potrawy i ile ma być ich konkretnie – wieść by można długie spory, nawet w obrębie jednej rodziny), ale także uważając, aby nic nikomu nie zabrakło i aby każdy wszystkiego, zwłaszcza podczas wigilijnej kolacji, spróbował. Zapewne więc i tradycją przekazywaną z pokolenia na pokolenie są ogromne ilości przygotowywanego na święta jadła.

Wielu z nas podśmiewuje się ironicznie z handlowców, którzy już w listopadzie, prawie że zaraz po Wszystkich Świętych i Zaduszkach, rozpoczynają sezon świątecznego handlu, odpowiednio dobierając asortyment towarów i wystrój witryn sklepowych. Ale przecież sami ulegamy przedświątecznej gorączce, w wielu przypadkach na długo przed świętami planując i przygotowując stosowne menu. Im bliżej wigilii i świąt, tym bardziej udziela się nam nerwowy nastrój, kupujemy często „na zapas", zapełniamy spiżarnie, lodówki i zamrażarki, aby przez przypadek niczego nie pominąć, o niczym nie zapomnieć, aby niczego nam nie zabrakło. Pewnie zwyczajem wielu rodzin jest wspólne spędzanie świąt przy suto zastawionym stole. Umawiamy się więc co, gdzie i u kogo „świętujemy", kto i co przygotuje i przyniesie. Wzajemnie przestrzegamy się i upominamy: „Tylko nie przesadźcie z ilością. Jedno, góra dwa mięsa, tyleż sałatek zupełnie nam wystarczą. W porządku, ty jeszcze zrób swoją sałatkę, a ty kapustę „taką jak mama" i dosyć, dobrze? Żadnych ciast, no chyba żeby piernik. Niech będzie jeszcze sernik i makowiec, no i koniecznie ciasteczka. Ale broń Boże 30 rodzajów! Jakieś 15, może 20 w zupełności wystarczy!". Znamy te teksty, nieprawdaż? A potem we wszystkich domach zaczyna się pieczenie, smażenie, duszenie, prażenie, gotowanie i tak dalej. W efekcie podczas samych świąt jest zgodnie z „tradycją" – jak każdego roku góra jadła na stołach! Bo przecież tego nie mogło zabraknąć i owego też nie: „Ależ dzieci to lubią, zawsze to jadły! Już nie lubią? Dziwne! A może jeszcze jeden mały kawałeczek? Jak to nie dasz już rady? Mojego nie spróbujesz? Smakuje zupełnie inaczej niż twoje – bo w naszej rodzinie tak się to robi…". Znamy te świąteczne, okołostołowe dialogi i monologi na wpół urażonych kucharek i kucharzy – przecież tyle się napracowali, tyle czasu, wysiłku i serca w przygotowanie potraw włożyli, a my… wciąż mamy żołądki tej samej pojemności, a na dodatek chroniczne kłopoty z trawieniem i nadwagą. Część potraw da się „wcisnąć" gościom, żeby mieli coś „na zaś", na „po świętach". Część uda się zamrozić i przetworzyć – za parę dni lub tygodni będzie jak znalazł. Ale zawsze pozostaje jakaś część jedzenia, która nie zmieściła się w przepełnionych żołądkach, nie nadaje się jako karma dla domowych i gospodarskich zwierząt i której nie da się przedłużyć daty przydatności do spożycia zamrażając, przegotowując lub wekując. I tu zaczyna się mało budujący obraz świąt „ciąg dalszy" – część potraw, nawet tych o najbardziej tradycyjnych lub wyszukanych smakach, w które włożyliśmy tyle pracy i miłości do bliskich, ląduje w koszu na śmieci!

Ile tego jest w skali jednej rodziny – niech każdy sobie powie z ręką na sercu. Ile tego jest w skali całego kraju – nie wiem, nie dotarłem do szacunków odnoszących się wyłącznie do świąt Bożego Narodzenia. Ale wystarczy sobie uświadomić, że każdego roku Polacy marnują 9 milionów ton żywności! Z tego 2 mln ton wyrzucamy my – konsumenci, a ponad 6,5 mln ton marnuje się podczas produkcji, w czasie przetwarzania i w handlu. Chociaż są to dane z 2006 r., to podczas badań sondażowych przeprowa-

dzonych w 2015 r. do wyrzucania niespożytej żywności przyznało się 60% respondentów! Najczęściej wyrzucamy pieczywo (49% – czyż to nie Polak jest autorem słów: „Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie…"), owoce (39%), wędliny (38%), warzywa (37%), jogurty (33%), sery (16%), ziemniaki (13%), mleko (13%), zakupione dania gotowe (10%) oraz mięsa (8%). Całkiem „nieźli" jesteśmy w jedzeniowym marnotrawstwie, bowiem więcej jedzenia od nas wyrzucają jedynie Brytyjczycy, Niemcy, Francuzi i Holendrzy, aczkolwiek mało chluby przynosi nam ten ranking. W Europie marnuje się ok. 100 mln ton żywności rocznie; przeciętny Europejczyk wyrzuca 20-30% zakupionej żywności, a mieszkaniec USA od 25 do nawet 40%. Przy czym aż 2/3 z wyrzucanego jedzenia nadaje się jeszcze do spożycia! Według danych FAO (Organizacja Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa) z 2011 r., na świecie każdego roku marnujemy 1,3 mld ton jedzenia, co stanowi aż 1/3 ilości produkowanej żywności nadającej się do spożycia. Te szokujące ilości nie rozkładają się równomiernie na całej kuli ziemskiej – o ile przeciętny mieszkaniec Europy i Ameryki Północnej marnuje od 95-115 kg jedzenia rocznie, to mieszkaniec tzw. Czarnej Afryki, czyli krajów położonych na południe od Sahary, jedynie 6-11 kg.

Te liczby szokują jeszcze bardziej, kiedy spojrzymy na inne statystyki FAO – te mówiące o głodzie na świecie. Administracyjno-biurokratyczna nowomowa posługuje się raczej sformułowaniami typu „brak bezpieczeństwa żywnościowego" czy „niedożywienie strukturalne", ale i tak wszyscy wiemy o co chodzi – o brak wystarczającej ilości żywności, której nie można skwitować naszym pospolitym stwierdzeniem „jestem głodny". To coś zdecydowanie więcej, to głód tak dotkliwy i permanentny, że prowadzący często do chorób i śmierci. Martín Caparrós w swojej wstrząsającej książce „Głód" (Wydawnictwo Literackie, 2016) pisze między innymi: „Niewielu – zbyt wielu – ludzi umiera bezpośrednio z powodu głodu. Bardzo wielu umiera z powodu chorób i infekcji, które są śmiertelne, bo organizm, osłabiony niedożywieniem, nie ma siły się bronić – a których człowiek odżywiony w ogóle by nie zauważył". Ilu na świecie jest głodnych czy „strukturalnie niedożywionych"? Trudno dokładnie powiedzieć, bowiem różne źródła podają różne liczby – od około 800 milionów do nawet 1 miliarda. Martín Caparrós nieco bardziej brutalnie, ale jakże obrazowo stwierdza: „Każdego dnia na świecie, na naszym świecie, z przyczyn związanych z głodem, umiera 25 tysięcy osób". Wstrząsające, nieprawdaż? Zwłaszcza w kontekście wspomnianych 1,3 mld ton rokrocznie marnowanej żywności. Jeszcze większym paradoksem jest fakt, iż Ziemia potrafiłaby wyżywić nawet 12 mld ludzi. M. Caparrós podsumowuje to krótko: „To, że tylu ludzi ma co jeść każdego dnia – to cud, że tylu nie ma – to podłość".

Czy między naszym poświątecznym wyrzuceniem niezjedzonych potraw a liczbą głodnych lub nakarmionych na świecie istnieje jakiś związek? Jeśli nawet, to bardzo odległy. Nie mam bowiem na myśli chwalebnego postępowania, jakim jest np. przekazanie naszych niedojedzonych potraw komuś potrzebującemu w najbliższym otoczeniu lub lokalnej organizacji, która niesie pomoc niedożywionym w naszym mieście lub powiecie (niedożywionym, ale nie głodującym w ujęciu statystyk FAO!). Nawet jeśli w tym roku kupimy żywności tylko tyle, ile trzeba i przygotujemy tylko tyle pokarmów, ile zjeść potrafimy, to w żaden sposób nie zmniejszy się przez to ilość głodujących na Ziemi. Ta żywność – której nie kupimy, nie zjemy i nie wyrzucimy na śmietnik – nie zmaterializuje się w jakiś cudowny sposób w domach czy na stołach głodujących na drugim krańcu świata. Zależności pomiędzy tym, ile żywności zjadamy i wyrzucamy, a liczbą głodujących na świecie są nieco bardziej skomplikowane.

Ale chyba warto wpisać sobie na listę świąteczno-noworocznych życzeń – obok jakże tradycyjnych postanowień: będę więcej ćwiczył, mniej jadł i schudnę – również i to dotyczące bardziej oszczędnego obchodzenia się z żywnością. Nawet jeśli tym bezpośrednio nie pomożemy głodującym, to może przynajmniej odrobinę przyczynimy się do zmniejszenia przytoczonych powyżej jakże wstydliwych dla naszego bogatego i sytego kawałka świata liczb. Może warto spróbować chociażby tylko dla swojego lepszego samopoczucia, czy też mniejszego poczucia wstydu, że nie dość, iż się objadamy, to jeszcze marnujemy tyle żywności, która mogłaby tak wielu potrzebującym pomóc. Zwłaszcza, że to, co i ile kupujemy i zjadamy, ma niebagatelny wpływ na środowisko przyrodnicze i jego kondycję (ale o tym „powymądrzam się" następnym razem).

Mimo jakże pesymistycznego przesłania niniejszego artykułu, wszystkim Czytelnikom *Ustrońskiej* życzę spokojnych i błogosławionych świąt Bożego Narodzenia i wszystkiego najlepszego w Nowym Roku!

Aleksander Dorda

TRZYMAMY SIĘ RAZEM

Obecnie liczbę Polaków w Brazylii szacuje się na 2-3 mln osób. Polskie osadnictwo rozpoczęło się w latach 70. XIX w. Koniec XIX w. to brak rąk do pracy, więc rząd brazylijski obiecywał przybyszom darmowy przejazd i bezpłatne nadania ziemi. W 1891 r. do Brazylii przyjechało 218.939 osób z Europy szukać swej życiowej szansy. Po 1890 r. w Brazylii było około 80.000 Polaków, głównie chłopi z Królestwa Polskiego i Galicji. Karczowali lasy, budowali siedziby i ginęli tysiącami. Wielu wracało. Do 1914 r. do Brazylii wyjechało ok. 100 tys. Polaków. I wojna światowa ogranicza emigrację, ale w II Rzeczpospolitej nie brakuje chętnych na osiedlenie się w Brazylii. W latach 1927-37 poza Europę obywatele polscy emigrowali do: Argentyny – 105.400 osób, Palestyny – 71.100, Kanady – 97.500, USA – 43.400 osób, Brazylii – 31.600. Jeżeli chodzi o wyznania to najwięcej wyjeżdżało katolików obrządku łacińskiego – 295.700, oraz wyznania mojżeszowego – 185.800. Emigrowali głównie chłopi i tzw. bierni zawodowo.

Polacy w Ameryce Południowej w powszechnym mniemaniu to ludzie sukcesu. Piotr Czerwiński, Krzysztof Arciszewski, Paweł Strzelecki, Ignacy Domeyko to Polacy, którzy cywilizowali Amerykę Południową. Emigracja po II wojnie światowej to zazwyczaj dobrzy fachowcy i inteligencja osiedlająca się w miastach i tam faktycznie zaliczająca się do sfer wyższych. Pozostaje jednak cała rzesza Polaków przybyłych do Brazylii za chlebem na prowincję. O nich rzadko słyszymy.

(cd. na str. 28)

Goście z Brazylii przed hotelem Olympic. **Fot. W. Suchta**

TRZYMAMY SIĘ RAZEM

(cd. ze str. 27)

W październiku sześciu Polaków z Cruz Machado w stanie Parana było w Ustroniu. Zostali zaproszeni przez Stowarzyszenie Euroforum, a na śniadanie do hotelu Olympic. Do I wojny do stanu Parana przybyło 60.000 opolskich osadników. W 1938 r. było ich 100 tys., a obecnie w 500 zwartych skupiskach jest ich 850.000. Cruz Machedo liczy 18 tys. mieszkańców, z czego 65% to Polacy, a w okolicy nasi rodacy stanowią 90-95% populacji. Rozmawiam z gośćmi z Cruz Machado i słyszę język polski sprzed stu lat. Jakbym przeniósł się w inna epokę. Starałem się zachować wypowiedzi mojej rozmówczyni w niezmienionej formie.

– Nasze pradziadki gadały, że była wojna i duża bieda. A my tak myśleli: Jaka jest ta Polska? Przyszedł Mikołaj, zapłacił nam bilety i my przyjechali. I Polska nie jest jak my sobie myśleli, że jest tak samo, jak u nas w Brazylii, tam gdzie my mieszkamy. A nie jest tak. Widzimy, że Polacy insze ludzie, serca dobrego i teraz każdy chce się uczyć i gadać po polsku. Patrzę i Polska ładnie wygląda, na tyle wojny co były. Urzędniki dobre. Ucieszyłam się, bo tak przyjęli mnie. Okropnie dobre ludzie. W Brazylii będziem tłumaczyć, jaka Polska, jak jest w Polsce i modlim się żeby Pan Bóg błogosławił Polsce. My nic nie możem zrobić, ale Pan Bóg wszystko – mówi Marlene Zaręba-Grzesik z Polonii brazylijskiej w Cruz Machado, którą spotykam w hotelu Olympic.

W Ustroniu Polacy z Brazylii zjawili się na śniadaniu na zaproszenie hotelu Olympic.

– W Polsce jedzenie smakuje okropnie dobrze. Mnie zaszkodziła zmiana czasu, ale teraz wszystko smakuje. Tam jemy więcej fasolę, ryż, mięso, a tu jest piękne, inaczej przyszykowane. Woda też inaksza, ze zdrojów. A ja cieszę się, że zdążyłam jeszcze przyjechać i odwiedzić Polskę – mówi M. Zaręba-Grzesik.

Przyjazd zorganizował Mikołaj Rykowski, prezes Stowarzyszenia Euroforum. O zaproszeniu Polaków z Brazylii mówi: – Od wielu lat organizuję Wigilię i Wielkanoc dla samotnych w Polsce, ale też za granicą dla Polonii, w ubiegłym roku w Toronto, a tam skierowano nas na Polonię brazylijską. Pojechaliśmy, sprawdziliśmy jakie są potrzeby i zrobiliśmy wydarzenie na 530 osób z tortem brazylijsko-kanadyjsko-polskim. To pogłębiło nasze relacje, a nutą najważniejszą było zobaczenie kraju przodków. Oni nigdy Polski nie widzieli, tylko opowiadali, jaki to kraj. Wróciliśmy do domu i zebraliśmy fundusze dla pierwszych sześciu osób, bo nie zamierzamy na tym poprzestać. Moim planem pierwotnym była młodzież szkolna, ale się nie dało, bo to inne dokumenty, przepisy, zgody rodziców. Ludzie bali się jechać do Polski, bo w ich oczach jesteśmy krajem złym. Skoro uciekli dziadowie, to tu jest źle. Ta wizyta zmienia ich pogląd, a poza tym przełamują lody, tworzą szlak do Polski. Myślę, że jak wrócą, dla innych Polaków w Brazylii będzie to sensacja. Trzy tygodnie w Polsce, a byliśmy w Warszawie, Malborku, Kołobrzegu, Wrocławiu, Krakowie, Tarnowie, Zakopanem, a tam pierwszy w życiu bałwan ze śniegu, potem Beskidy, Cieszyn.

– Mieszkamy w Cruz Machadzie, gdzie nasze pradziadki pozasiadali, jak tam zajechali. Morzem 40 dni. Reszta piechtą i doszli co Cruz Machado i tam stanęli w kupie. Urząd przyjechał i kazał im się porozchodzić. Dali im ziemię, ale lasy, żeby same wypracowały. Nie mieli nic, pracowali i tak zostało – mówi M. Zaręba-Grzesik. – W Brazylii mamy dobrze, gorzej materialnie. Jest ciężka praca. Mieszkamy po wsiach, po polach, pracujem. Ciężko. Ojce nam wymarli i zostały sześć siostry. Ojciec nie miał ani jednego synka. Bez to trzeba było ciężko pracować. Miałam 10 lat i nauczyłam się w domu robić, 11 i poszłam na dniówki po polach zarabiać.

Polscy koloniści pracujący przy budowie drogi w Cruz Machado, rok 1928.

13 lat i poszłam pługiem orać i bronować, bo nie było brata do ciężkiej roboty w nasze miejsce. Sześć sióstr i wszystkie pracowały w polu, teraz wszystkie się wyżenili i dalej pracują w polu. Wszystkie mieszkają poblisko, 12, 8, 7 kilometrów, a ja najdalej, 30 kilometrów. Tak i tak do nich idę, żeby my się łączyli razem, nie zostali jak sieroty. Sadzimy ryż, fasolę, ziemniaki, nawet drzewka. Rozmaita praca.

Pierwsza polska szkoła w Brazylii powstała w 1876 r. Z czasem rząd brazylijski dążył do stworzenia zwartego społeczeństwa – narodu brazylijskiego. Zakazano używania języków obcych w miejscach publicznych, położono nacisk na naukę portugalskiego. W stanie Parana w 1938 r. zamknięto 164 polskie szkoły. Jednocześnie szkół z językiem portugalskim było brak, pojawił się analfabetyzm.

– Polski znamy już od ojców z domu – mówi M. Zaręba-Grzesik. – Jak my się porodzili, to pierwszy język my znali polski. Z domu. Trzymamy się razem. Jak my byli małe, to Polacy nie mieszali się z Brazylianami. Potem wszystko się zmieniło i zaczęli się Polacy mieszać z Brazylianami. Tłumaczyli ojce, dziadki, nie żeńta się z nimi, bo język zagubita, to co my z Polski przywieźli. My zawsze pilnowali się, żeby być między Polakami. Ksiądz mówił, żeby my języka nie zaniedbywali.

Polakom z Brazylii w Ustroniu towarzyszyło mieszkające w Ustroniu małżeństwo zaprzyjaźnione z M. Rykowskim. Zapytani o wrażenia powiedzieli:

– Ludzie na wsi, skąd pochodzą, odradzali im przyjazd do Polski. Przecież nasi ojcowie stamtąd uciekli. Takie jest wyobrażenie o Polsce. A jak przyjechali do Warszawy, to była telewizja. Przyjął ich wicepremier Jarosław Gowin i był zaskoczony, że są Polacy, o których nic nie wiemy. Obiecał stypendia. Powiedział, że może im poświęcić 5 minut, a siedział pół godziny. A nasi goście spodziewali się, że jadą do ojczyzny swoich dziadków, takiej jak sto lat temu. **Wojsław Suchta**

Kolonia polska w Cruz Machado w stanie Parana w Brazylii w roku 1928.

FELIETON

W kręgu filozoficznej refleksji (242)

1. Czas świąt jest czasem na wiele sposobów szczególnym, odróżniającym się od codzienności, mającym inny charakter niż dzień powszedni.

2. Rozpatrując rolę rodziny w kulturze, wśród różnych dynamicznych i – ze względu na swą odmienność – konkurujących z sobą sfer kultury, socjolog kultury Leon Dyczewski (1936-2016) uznaje, iż to właśnie rodzina jest – i powinna pozostać – podstawowym twórcą i przekazicielem kultury. Zwraca on uwagę na swoiste cechy (walory) kultury dnia codziennego i dnia świątecznego w rodzinie. Codzienność w życiu rodzinnym, może – jak w krzywym zwierciadle – jawić się jedynie jako ciążąca monotonia, którą niechętnie ponawia się dzień po dniu, dlatego wymaga takiego jej formowania i przeżywania, aby – mimo nieusuwalnej powtarzalności pewnych działań i mimo wywołującej znużenie ich „szarości" – stawała się również doświadczaniem wartościotwórczej kultury. Zarazem rodzina powinna tak kształtować i rozbudowywać swój świat wewnętrzny, aby – kształtując zdolność do przekraczania wymogów dnia powszedniego – mogła być także środowiskiem sprzyjającym wytwarzaniu kultury dnia świątecznego z właściwymi mu wartościami, rytuałami i symbolami. Rozpatrując, czym jest (jak przebiega) świętowanie, L. Dyczewski akcentuje wspólnotowy i wspólnototwórczy charakter świętowania: „Pracować, modlić się, myśleć, studiować, tworzyć wspaniałe dzieła artystyczne można samotnie – w pojedynkę, świętować – tylko z kimś. Świętowanie jest działaniem zbiorowym, wymaga obecności innych osób, wspólnego uczestniczenia w tym, na co święto ukierunkowuje i w czym się ono wyraża. Świętowaniu towarzyszą wspólnie uznawane wartości, wspólnie wypowiadane słowa, wspólnie używane przedmioty, wspólnie wykonywane czynności, wspólne przeżycia. Święto jest instytucją społeczną. W przypadku święta jako instytucji mamy zatem do czynienia z trwałością zachowań świątecznych. Ustalone od dawna i wprowadzane nowe wzory zachowań świątecznych przyporządkowują indywidualne zachowania treściom i formom danego święta". Z tej racji powinno się kształtować umiejętność wspólnego świętowania, zwłaszcza jeśli uwzględnia się socjalizacyjne i wychowawcze aspekty świętowania: „Obchodzenie świąt jest – według L. Dyczewskiego – niezmiernie ważne dla procesu socjalizacji. Doskonale zdaje sobie z tego sprawę rodzina, dlatego formy świętowania są na ogół bardziej bogate, gdy uczestniczą w nich dzieci w wieku rozwojowym. Uroczyste obchodzenie świąt wyraźnie uświadamia miejsce w rodzinie poszczególnych jej członków, ich uprawnienia i obowiązki, sprzyja zakorzenieniu w rodzinie, a poprzez nią w społeczności lokalnej i regionalnej, w kulturze całego narodu i społeczeństwa. Święta bowiem są ważnym elementem i nośnikiem tożsamości społecznej i kulturowej". Aby udział we wspólnym przeżywaniu czasu świąt nie był tylko pustym (przebrzmiałym, martwym) rytuałem, to niezbędne jest prowadzenie systematycznej i wielostronnej edukacji aksjologicznej oraz dostrzeganie (rozumienie) swoistości doświadczenia aksjologicznego czasu świąt, bowiem świętowanie ufundowane jest na określonych zestawach wartości: „Jednostka pozbawiona wyższych wartości nie potrafi świętować. W dniu świątecznym wielu współczesnych tylko odpoczywa i się bawi. Jest to pierwszy krok do osłabienia świętowania, a ostatecznie do jego zaniku. W świadomości indywidualnej i zbiorowej następuje osłabienie lub nawet zanik wartości, norm etycznych, wiedzy o osobach i wydarzeniach związanych z danym świętem". Kształtowanie umiejętności wspólnego świętowania angażuje więc całościowo pojętą edukację formalną i nieformalną, która przygotuje do aktywnego (twórczego) uczestnictwa w różnych sferach – dziedziczonej i nasyconej wartościami – kultury rodzimej (partykularnej) i zarazem kultury uniwersalnej.

3. Rozpatrując sens świąt, L. Dyczewski przytacza też trafną myśl, którą wyraził niemiecki filozof kultury Odo Marquard (1928-2015): „Zwierzęta mają tylko dzień powszedni: one żyją. Bóg ma tylko niedzielę: On patrzy. A ludzie mają obydwie sytuacje: żyją i dystansują się od codziennego życia, pracują i świętują, mają dzień powszedni i święto". Dla kształtowania i rozwoju naszego człowieczeństwa niezwykle ważne jest uczestnictwo w świętach, które obchodzi się wspólnie z innymi ludźmi. Dlatego składamy sobie wzajemnie życzenia dobrych świąt, abyśmy dzięki wspólnemu ich obchodzeniu mogli stawać się także lepszymi ludźmi, otwartymi na innych, nie tylko „od święta", ale każdego dnia. **Marek Rembierz**

FELIETON

Babskie gadanie

Autorefleksja i ocet

Muszę się pochwalić, że ubiegłoroczne postanowienia noworoczne zrealizowałam. Bez przesady, nie w stu procentach, może nawet nie w pięćdziesięciu, ale i tak jestem z siebie dumna. Do postanowień można podchodzić na dwa sposoby – asekuracyjnie (bo i tak nie dam rady) albo na bogato (a nuż coś się uda). Jednak najważniejsze, by cieszyć się ze swoich osiągnięć, nie bacząc na procenty.

O zmianach, które zamierzałam wprowadzić w swoim domu, a co za tym idzie w życiu, pisałam w ubiegłorocznym świątecznym magazynie Gazety Ustrońskiej. Wydrukowali, dostałam szansę opublikowania swoich prywatnych rozmyślań, ale po roku stwierdziłam, że to broń obosieczna. Nie mogę udawać, że jednak co innego miałam na myśli albo że zgubiłam karteczkę i właściwie nie wiem, co obiecywałam. Stoi czarno na białym w gazecie i jeszcze na dodatek do końca świata będzie to można przeczytać w internecie na www.archiwum.ustron.pl.

Ostatecznie ucieszyłam się, że zapisałam, bo się udało. Co by było, gdybym poszła w zupełnie inną stronę? Pogrążyła się w bałaganie i rozpustnym zakupoholizmie? Nie wiem, może byłoby mi smutno, a może podziałałoby to mobilizująco. Na pewno pojawiłaby się jakaś refleksja, a to bardzo dużo.

„Refleksja" i „autorefleksja" to pojęcia popularne w tekstach psychologicznych, motywacyjnych, ale bez względu na to, jaki mamy stosunek do tego typu poradników, warto się nad nimi pochylić. „Refleksja" wg Słownika Języka Polskiego PWN to: 1. głębsze zastanowienie się nad czymś, wywołane silnym przeżyciem, 2. myśl lub wypowiedź, będąca wynikiem takiego zastanowienia się (pomijam tu znaczenie filozoficzne, bo to specjalność innego felietonisty). Autorefleksja zachodzi wtedy, gdy zastanawiamy się nad samym sobą.

Warto czasem popatrzeć na siebie z dystansem. Zafundować sobie taką chwilę dla siebie i o sobie. Zadać pytania: „Czy rzeczywiście muszę zajmować swoje myśli sprawami znajomych, kryzysami rządowymi i globalnym ociepleniem? Jaki mam na to wpływ? Dlaczego denerwuje mnie takie czy inne zdarzenie, zachowanie? Może lepiej odpuścić? I to najważniejsze: „Czego tak naprawdę chcę?" Autorefleksja pomaga uporządkować myśli, uczucia i pomaga żyć. A uzmysłowienie sobie swoich chęci i oczekiwań pozwala uniknąć wikłania się w sprawy, związki, zobowiązania, które nas męczą i nie pozwalają oddychać pełną piersią.

W autorefleksji bardzo pomaga pisanie. Taka zwykła czynność, jak przelanie myśli na papier, zmienia perspektywę. To, co mieliśmy w środku – chaotyczne i nieokreślone, wydostaje się na zewnątrz i za pomocą kodu – liter, słów, staje się bardziej poukładane, czytelne, zrozumiałe. Dzięki zapiskom możemy wrócić do swoich przemyśleń po czasie i skonfrontować się z nimi, zastanowić się, czyli zdobyć się na kolejną autorefleksję, którą też najlepiej od razu zapisać. Nie bez powodu pamiętniki najczęściej piszą nastolatki. Mają taką burzę myśli i uczuć, że naturalnym odruchem jest chęć zapisania i uporządkowania. Dorosłym też nie jest lekko i dlatego warto stworzyć sobie taki prywatny kajecik.

Wracając do realizacji postanowień, udało się, zaprzyjaźniłam się z minimalizmem. Latem zrobiłam generalne porządki i pozbyłam się wielu rzeczy. Ubrania, do których już nigdy nie wejdę, trafiły do kontenerów na odzież. Tak samo zabawki i gry dawno zapomniane przez dzieci. Przejrzałam szafki i wyrzuciłam pojedyncze śrubki, klucze do niczego nie pasujące i części nie wiadomo jakich urządzeń. Taki sam los spotkał stare gazety i instrukcje sprzętów, których już dawno nie mam. Przeraziła mnie ilość przeterminowanych lekarstw i kosmetyków, a także prawie pustych opakowań po kosmetykach. Przejrzałam stosy płytek CD, które zawierały nieistotne już dla mnie treści lub w ogóle się nie odpalały. Przyznaję, zostawiłam kilka kaset magnetofonowych i winyle, i jeszcze kilka innych zupełnie niepotrzebnych rzeczy, bo stwierdziłam, że jeszcze nie nadszedł czas rozstania.

Po tych porządkach poczułam się lekko, a mój dom wydał mi się czysty i posprzątany jak nigdy. To dobry kierunek, zwłaszcza gdy idzie za tym „niekupowanie". Cały czas się tego uczę. Z bólem, ale odchodzę od półek z pięknymi kubkami porcelanowymi czy etnicznymi serwetkami. Mogę bez nich żyć i to jak żyć! Z pełniejszym portfelem i bez dupereli.

Przy okazji tych generalnych porządków, zainteresowałam się naturalnymi środkami do sprzątania i czyszczenia. Stałam się fanką sody oczyszczonej i octu. Nie sposób nawet wymienić zastosowań dla tych środków, bo jest ich tak wiele. Właściwie można ich używać do wszystkiego. Do sody przekonał mnie tak przypalony garnek, że żadne myjki nie dały rady. Wieczorem wsypałam do niego opakowanie sody, zalałam wrzątkiem i rano umyłam. Stosuję sodę do płukania tkanin, bo syn ma skórę atopową i odpadają wszelkie płyny. Sodą umyłam ściany, odkaziłam materace i kanapy. Octem udało mi się wyczyścić szafkę koło kuchenki, która pokrywa się tłustymi plamami, odkamieniłam czajnik i ekspres do kawy, a jako że środek ten ma właściwości bakteriobójcze używam go do mycia lodówki, mikrofalówki i zlewu. Zapach szybko się ulatnia. Mieszanką octu i sody da się doczyścić kafelki, fugi i piekarnik.

Aż się boję napisać, co bym chciała osiągnąć w nowym roku, ale dobra, raz kozie śmierć. Chcę zadbać o zdrowie. Mieszkam w tak niezwykłym mieście, że nie muszę daleko szukać inspiracji. Obserwuję i bardzo kibicuję Annie Sikorze, Remigiuszowi Ciupkowi i Lidii Szkaradnik. Dwie pierwsze osoby zmieniły swoje życie na bardziej aktywne, zdrowsze i wspaniale propagują swoje pasje. Dyrektor Muzeum Ustrońskiego napisała w Kalendarzu Ustrońskim o swojej chorobie – boreliozie i o tym, jak się z nią zmaga. Zwróciła przy tym uwagę na naturalne metody. Pewnie nie zostanę najbardziej wysportowaną kobietą Podbeskidzia, nie schudnę też 70 kilogramów i mam nadzieję, że nie padnę ofiarą zakażonego kleszcza, jednak przyda mi się więcej ruchu i zdrowsza dieta. Odwiedzę dwóch lekarzy specjalistów, wykonam badania i mam nadzieję, że dowiem się, że wszystko jest w porządku. Zapewnię też więcej odpoczynku mojej głowie i duszy, bo jak na razie gonitwa myśli i brak czasu na chwilę ciszy i relaksu. Ha! Pisanie działa. Dopiero, jak napisałam zdanie, uświadomiłam sobie jego niedorzeczność – „brak czasu na chwilę..." To nie brak czasu, a brak nawyku. Trzeba to zmienić.

Z życzeniami gustownego zeszyciku do zapisywania czegokolwiek, chwil relaksu i autorefleksji,

Janka Krzok

Panie z KGW Lipowiec znowu piekły ciasteczka w Przedszkolu nr 1.

FELIETON

Choroba Krzysia

Od tygodnia jestem na zwolnieniu lekarskim z powodu choroby naszego Krzysia. Gonię już resztkami sił. Sześć nieprzespanych nocy kładzie się ciemnymi podkowami pod moimi oczami. Napięcie nerwowe i dojmujący strach o życie naszego ukochanego synka rysuje sieć zmarszczek na mojej twarzy. Ale to wszystko nic, to się nie liczy. Ważne jest tylko zdrowie i życie Krzysia.

Leży teraz w łóżeczku bezradny i cichy. Tylko od czasu do czasu pojękuje. Nie potrafi nawet otworzyć oczu. Niewiele jeszcze napatrzył się na ten świat, a już mu grozi, że swoje oczka zamknie na zawsze. Zaledwie osiem miesięcy minie jutro od jego urodzin. Minie, jeśli jutrzejszego dnia dożyje... Lekarka mówiła, że dzisiejsza noc będzie decydująca, ale musimy liczyć się nawet z najgorszym. Ludzka wiedza lekarska nic już tu nie pomoże. Wszystko zależy od Boga.

Nie, nie dopuszczam do siebie tej myśli, że życie naszego synka zakończy się tak szybko. Obronię go przed śmiercią. Nie dam jej przeciąć jego życia. Jestem gotowa poświęcić nawet siebie, żeby tylko go uratować...

Rozpłakałam się i z rozpaczą patrzyłam na chorego. I wtedy spojrzałam na ścianę nad łóżeczkiem. Dojrzałam tam oprawione w ramkę świadectwo konfirmacyjne. Wisiało ono tam już tak dawno, że nie zwracałam na niego uwagi. Teraz jednak coś kazało mi spojrzeć na nie uważnie. Moją uwagę zwrócił wypisany na nim werset biblijny. Były to słowa wyjęte z Psalmu 50: „Wzywaj mnie w dniu niedoli. Wybawię cię, a ty mnie uwielbisz!”

Nie pamiętałam o tym, że właśnie takie słowa dane mi zostały w dniu konfirmacji na dalsze dni mojego życia. Wyszło na to, że dotąd nie były mi potrzebne. Aż dotąd moje życie było szczęśliwe. Aż do teraz, aż do dzisiaj. I te Boże słowa zapisane przez Psalmistę, czekały na mnie aż do teraz, do czasu mojej strasznej niedoli, czasu bezsilności, bezradności i rozpaczy. Te słowa przypomniały mi o tym, że Bóg zapewnia, że nigdy nie zostawia nas samych z naszą niedolą i nieszczęściem. Zawsze gotów jest nas wysłuchać, wspomóc i wyratować z niedoli. On jest w stanie wybawić człowieka z każdego nieszczęścia. O to wybawienie możemy i powinniśmy prosić. I to prosić z nadzieją, że Pan wybawi nas i naszych bliskich.

Uklękłam przy łóżeczku chorego dziecka i pogrążyłam się w gorliwej modlitwie. Prosiłam ciągle na nowo: Boże, ratuj naszego ukochanego synka. Nie odbieraj go nam. Wyrwij go z mocy śmierci. Przywróć mu zdrowie i siły. Ukochany Zbawicielu, okaż swoją wszechmoc i panowanie nad śmiercią. Oddaj mi mojego Krzysia, tak jak wdowie z Nain oddałeś jedynego syna. To prawda, dziękuję Ci, że nie jestem wdową! Ale ten mój pierworodny, jedyny syneczek, jest mi równie potrzebny jak owej wdowie jej syn. Ja go przecież tak bardzo kocham! Panie, uzdrów, uratuj go!

Panie, czy chcesz mnie ukarać za to, że nie chciałam go urodzić? To było tak dawno i wydaje mi się niemożliwe, że choć przez chwilę tak myślałam...

Mieliśmy wtedy inne plany. Ciotka męża przysłała nam zaproszenie na kilkutygodniowy pobyt u niej, we Francji. Mieliśmy tam spędzić urlop. To byłoby spełnienie naszych marzeń. Już widziałam w wyobraźni jak z wieży Eiffla podziwiamy uroki Paryża, albo spacerujemy bulwarami nad Sekwaną...

A potem to wszystko zniknęło jak sen jakiś złoty. Okazało się, że jestem w ciąży i nasz wyjazd stoi pod znakiem zapytania.

Czułam się fatalnie, jakby mnie ktoś oszukał i ograbił. Nie cieszyło mnie mające przyjść na świat dziecko. Myślałam nawet o przerwaniu ciąży. Ale mąż się nie zgodził. Pamiętam z jakim wyrzutem spojrzał na mnie, gdy zwierzyłam się mu ze swoich myśli. Szybko jednak się opanował i zaczął mi tłumaczyć: „Jestem całkowicie za świa-

domym rodzicielstwem, ale nie za wszelką cenę. Dobrą rzeczą jest planowanie rodziny, ale przecież jest Ktoś nad nami, który kieruje naszym życiem i On wie, co i kiedy jest najlepsze w naszym życiu. A dzieci są darem Boga i ten dar winniśmy przyjąć z radością, ufnością i miłością. Wszak wierzymy, że Boże plany są ważniejsze od naszych. Zrezygnujemy z naszych urlopowych planów. (...) Wiesz zresztą jak bardzo się cieszę z tego, że będziemy mieli dziecko, przecież oboje bardzo tego chcieliśmy.” Jego spojrzenie przekonało mnie skuteczniej niż wszelkie argumenty. W świadomości pozostał jednak gorzki osad niespełnionych marzeń. A Krzysio, jakby czując, że to z jego powodu, starał się sprawiać mi jak najmniej kłopotów. Nawet teraz, jak jest śmiertelnie chory, leży cichutko w łóżeczku. Widzę, jak się męczy... Wieczorem miał 41 stopni gorączki.

Myślę, że jestem winna tej jego chorobie. Bóg, jakby pamiętając o mojej dawnej, choć krótkotrwałej niechęci wobec niego, chciał mi go zabrać. Zabrać, żeby mi już nie sprawiał kłopotów i nie przekreślał moich planów życiowych. Boże! Nie zabieraj mi mojego syneczka, bo nie mogłabym żyć bez niego. Panie! Wyznaję, że nie chciałam przez krótki czas przyjąć go jako pięknego, najwspanialszego daru Twej łaski. Wydawało mi się, że jest to dar dany mi nie w porę... Teraz wiem, że to nie tak. Kocham mojego syneczka najbardziej na świecie i jestem Ci bezgranicznie wdzięczna za to, że go nam dałeś. Nie zabieraj nam go teraz. Weź raczej mnie, a jego zostaw przy życiu.

Mąż siedzi obok mnie. Nie mówimy nic, ale wiem, że on czuje i myśli tak samo jak ja. Jakże bardzo pragnął mieć syna!

Pamiętam, że kiedy dowiedział się, że mamy syna, już wczesnym rankiem był u mnie w szpitalu. Znajoma lekarka pomogła mu włożyć fartuch, maskę i gumowe buty. W takim stroju zjawił się przy moim łóżku z kwiatami w ręce. Nie musiałam o nic pytać. Widziałam jaki jest dumny i szczęśliwy. I mnie było wtedy bardzo dobrze. Uśmiechnęłam się do męża, ciesząc się razem z nim...

Minęło zaledwie kilka miesięcy, a mnie się zdaje, że to było dawno temu. Tak choroba Krzysia zmieniła wszystko. Nie wiedziałam, jak człowiek może się postarzeć w ciągu kilku dni w czasie niedoli, która dotyka go boleśnie...

Krzysiek jęknął przez sen. Poderwaliśmy się oboje i pochyliliśmy się nad łóżeczkiem. Dotknęłam jego czoła. Było rozpalone i mokre od potu. Otarłam mu ostrożnie twarz pieluszką. Dawno minęła już północ. W całym domu panuje śmiertelna cisza. Jakże strasznego znaczenia nabiera to określenie.

W tej chwili. Tylko my czuwamy, Nie śmiemy przerywać ciszy, Siedzimy pogrążeni w bolesnych rozważaniach i modlitwie.

Boże, gdybym była katoliczką ofiarowałabym świętemu palące się świeczki, które byłyby widomym znakiem, że coś od siebie dałam. Może byłabym wtedy spokojniejsza o los mego maleńkiego synka. Ale ja wiem, że z Tobą nie można się targować, nie można Ci nic ofiarować, czego byś nie miał czy potrzebował. Człowiek może liczyć tylko na Twoją łaskę i miłość. Pozostaje mu tylko zanoszenie kornych modlitw do Ciebie, powtarzanie tych samych próśb z nadzieją, że zostaną przez Ciebie wysłuchane. Boże, Ty wysłuchujesz modlitw szczerych i wytrwałych! Ty wysłuchasz i naszych modlitw!

Poruszona tą myślą, poprosiłam męża, abyśmy się jeszcze raz pomodlili. Uklękliśmy przy łóżeczku Krzysia i pogrążyliśmy się w cichej modlitwie.

Minęła kolejna, bezsenna noc, spędzona na czuwaniu i modlitwie. Pierwsze, nieśmiałe promienie słońca, dawały nową nadzieję, że Krzyś będzie żył. Z bijącym sercem dotknęłam jego czoła. Zdawało mi się, że jest znacznie chłodniejsze niż było w nocy. Około jedenastej przyszła lekarka. Kiedy zobaczyła Krzysia i zbadała go, powiedziała:„Będzie żył”.

Upadliśmy z mężem na kolana, dziękując Bogu za okazaną nam łaskę. A ja w myślach dałam naszemu synowi drugie imię: Bożydar! Bóg dał nam go po raz drugi. Jest mi przez to tym droższy i tym bardziej go kocham. I wyznaję z pełnym przekonaniem: Twoje dary, Boże, zawsze są dobre, także wtedy, kiedy zdaje nam się, że przychodzą nie w porę...

Jerzy Bór

Szanownym Czytelnikom Gazety Ustrońskiej

Spokoju, miłości i radości.

MOKATE
A Family Business